NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 988·— Marek, Półrocznie 1976·— Mk. Rocznie 3952·— Mk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 20 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 30·—, za wiersz petit. w części redakcyjn. 50 Mp. — Zamiejscowe o 50%, zagraniczne o 100% drożej.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XX, ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. [illegible]

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Julian Bartoszewicz

W Warszawie do nabycia wszędzie. „Promień", Łódz, Piotrkowska 81.

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 80 Marek.

Rok XVIII. Kraków, 12 listopada 1921. Nr. 46

Z martyrologii naszych uchodźców wojennych



Grupa uchodźców wojennych, powracających z głębi Rosyi, w Baranowiczach.

Z martyrologii naszych uchodźców wojennych.

(Do illustracyi tytułowej).

Wojna już się skończyła, między sowiecką Rosyą a Polską nastały względnie normalne sąsiedzkie stosunki, na podstawie wzajemnej umowy powinien też nastąpić najrychlejszy powrót do ojczyzny naszych jeńców i uchodźców wojennych, których tysiące rozrzucone po całym obszarze byłego carskiego imperyum, cierpią nędzę, głód i prześladowanie. Funkcyonują wprawdzie komisye repatryacyjne, mające się zająć ich losem, ta jednak zachodzi między niemi



Zgon znakomitego publicysty: Redaktor „Myśli Niepodległej", ś. p. Andrzej Niemojewski.

różnica, że, gdy sowiecka w Polsce cieszy się pełnem poparciem naszych władz, starających się jej nieraz aż zanadto daleko iść na rękę, polską w Rosyi szykanuje się na każdym kroku, utrudniając jej spełnianie swych zadań. Jej członkowie sami narażeni są stale na poważne niebezpieczeństwo, a nie jest bynajmniej wykluczonem, choć sowiety starają się temu zaprzeczyć, że niedawne zamordowanie dra Frączkiewicza, przewodniczącego Polskiej Komisyi Repatryacyjnej, miało podkład polityczny. Obszar państwa rosyjskiego wpływa też ujemnie na możność zaopiekowania się losem jeńców i uchodźców wojennych, traktowanych przez rząd sowiecki gorzej od pospolitych zbrodniarzy. Setkami więzi się ich bez żadnego powodu, metody byłych carskich siepaczy stosują w dalszym ciągu sowieckie czerezwyczajki i to nawet z wzmożoną energią. Ilu tych biedaków wyginęło z głodu, Bóg jeden wie. Komisarze ludowi, nie troszczący się zbytnio o los swych obywateli, tem mniej zajmowali się obcymi przybyszami.

Obecnie napływają do Polski coraz liczniejsze rzesze jeńców i uchodźców wojennych, którzy lat kilka spędzili w głębi Rosyi. Główna ich fala przechodzi przez stacyę kolejową w Baranowiczach, przedstawiającą się w niektóre dni jak obóz ludzi, wracających z tamtego świata. Serce się kraje na ich widok, a opowiadania, co wycierpieli, zdolne są poruszyć nawet najobojętniejszego. Stwierdzili korespondenci zagranicznych pism, kreśląc w żywych słowach dzieje tułaczki tych nieszczęśliwych, których część tylko powrócić mogła do swej ojczyzny, reszta zaś spoczęła daleko od jej granic, znacząc swemi mogiłami drogę prawdziwie męczeńskiego pochodu. Ci, którzy wrócili, to nie ludzie, lecz cienie ludzkich postaci, znękani przeżyciami i złamani na duchu, jeszcze tutaj, choć znajdują się już na ojczystej ziemi, rozglądający się trwożliwie wokoło, czy nie śledzi ich oko lub ucho czerwonego zbira.

Władze polskie zajmują się gorliwie losem nieszczęśliwych, którzy wbrew swej woli zmuszeni byli opuścić rodzinną zagrodę i zostawić ją na pastwę losu, a dziś, wracając po kilku latach niewoli, nie zastają z niej ani śladu. Powrót ich odbywa się bardzo ospale i jeśli rząd polski nie znajdzie środków do przynaglenia władz sowieckich, trwać może całe lata. Papier, na którym spisano umowę w Rydze, jest bardzo cierpliwy, a komisarze sowieccy nie biorą sobie zbyt do serca tego, na co się tam zgodzili, wymagając natomiast od nas byśmy jak najskrupulatniej wypełnili postanowienia traktatowe.

Zgon znakomitego publicysty.

Przez śmierć Andrzeja Niemojewskiego ubyła literaturze i publicystyce naszej jedna z najoryginalniejszych postaci.

Za młodu zmarły był gorącym wyznawcą zasad socyalistycznych. Kierunek ten wybitnie występował w jego poezyach, nowelach i powieściach z talentem i rozmachem pisanych. Mniej powodzenia miały jego utwory dramatyczne, którym brak było warunków scenicznych.

Przerzuciwszy się na pole publicystyki (pierwsze jego artykuły drukowały „Prawda" i „Głos" warszawski), stał się na niem pierwszorzędną potęgą. Niezrównany polemista, stylista pierwszej wody, wytwornie władający językiem, zdobył niesłychaną popularność wśród tych sfer inteligencyi, które widziały w nim nieustraszonego obrońcę prawdy i bojownika w imię dobra publicznego. Zwolennicy ci jednak zmieniali się co chwila, stosownie do tego, jak się zmieniały zapatrywania Niemojewskiego. Pod tym względem był nieobliczalny. Roczniki słynnej jego „Myśli niepodległej" dowodzić będą, do jakiego stopnia jeden i ten sam pisarz może doprowadzić do tego, że spoteozuje dziś to, co wczoraj potępiał, lub plwa dziś na to, co wczoraj pod niebiosa wynosił. A nie była to jakaś ewolucya



Poświęcenie sztandaru pierwszej załogi obrany Lwowa: Grupa „obrońców Lwowa" ze sztandarem, ofiarowanym przez tamtejszego obywatela p. Stanisława Hessa.

przekonań zupełnie zrozumiała, lecz były to przeskoki gwałtowne, niespodziewane, wprowadzające w zdumienie. Jedni dopatrywali się w tem niesłychanej wrażliwości umysłowej, inni tłómaczyli to brakiem charakteru, lub wrodzonym duchem opozycyi i przekorności, inni wreszcie składali to na karb żądzy imponowania samodzielnością, niepodległością zdania. Wobec tak rozmaitych zapatrywań niepodobna dziś jeszcze ustalić sobie opinii tak o pisarzu, jak i człowieku.

Jedno mu tylko nawet przeciwnicy przyznają, a mianowicie, że stał zawsze na straży interesu narodowego wobec wrogich nam rządów. Umiał odważnie w miarę możności bronić spraw narodowych tak wobec rządu moskiewskiego, jak i za okupacyi niemieckiej.

Z niepospolitym talentem pisarskim łączył Niemojewski i sporą wiedzę. Jego głośny antysemityzm opierał się na gruntownych studyach nad talmudem. Badał historyę religii, astrologię, spirytyzm, był wybitnym znawcą literatury politycznej. Ostatnia jego książka „Dawność a Mickiewicz" była wynikiem badań wiedzy tajemnej.

Tłómacz „Życia Jezusa" Renana, autor głośnych „Legend", sądownie o bluźnierstwo ściganych, „Irredenty", „Podziemi", „Listów człowieka stalowego", „Ziemi obiecanej", Zbiorów „Poezyj", „Ptaków burzy" itd. urodził się r. 1864. Uczęszczał na uniwersytet Jagielloński. Przez kilka lat był urzędnikiem jednej z firm przemysłowych w Sosnowcu. Koło r. 1900 osiadł na stałe w Warszawie, gdzie też 2 listopada r. b. dokończył żywota.

Nawet po śmierci sprawił niespodziankę, bo lubo był katolikiem z wyznania, kazał się pochować na cmentarzu ewangelickim obok zmarłej przed kilku laty małżonki. *B.*



Pamięci poległych: Częstochowski korpus oficerski z jenerałem Pogorzelskim (1) na czele, oraz przedstawiciele miejscowych władz cywilnych z starostą Kühnem (2) podczas defilady po nabożeństwie za poległych oficerów i żołnierzy 27 p. p.

Poświęcenie sztandaru pierwszej załogi obrony Lwowa.

Żadne może z miast polskich nie doświadczyło w ciągu tych kilku lat zawieruchy wojennej tylu przeciwności losu, ale też i żadne z nich nie złożyło tylu i tak wspaniałych dowodów męstwa i bezgranicznego prawie poświęcenia się, jak Lwów. Te lata wojenne, to najpiękniejsza karta w dziejach nowoczesnego Lwowa, a zarazem dowód, niczem zbić się nie dający, że jest to miasto nawskróś polskie, gdyż taką jest większość jego mieszkańców, którym woli swej nie potrafi narzucić garstka szowinistycznych Ukraińców, posiłkowana przez syonistów, głoszących wprawdzie swą neutralność, lecz postępujących zupełnie inaczej. Przejścia polskiego Lwowa, zwłaszcza z czasów okupacyi ukraińskiej, a następnie inwazyi bolszewickiej, to karty pisane wprawdzie krwią serdeczną, lecz otoczone tak świetną aureolą bohaterstwa i męczeństwa, iż jej wieki nie zatrą. Polskie społeczeństwo uznaje też te zasługi, jakie polski Lwów położył w tym okresie, a widocznym znakiem tego uznania było ozdobienie herbu miasta Lwowa krzyżem *Virtuti militari*, na który sobie niemal każdy Lwowianin Polak rzetelnie zasłużył.



Delegacya Huculów w Warszawie: Uczestnicy i przewodniczący delegacyi z Kosowszczyzny. Aj. fot. Maryan Fuks, Warszawa.

W przededzień rocznicy dnia, który pozostanie na zawsze jasną choć żałobną kartą w dziejach Lwowa, odbył się uroczysty obchód, poświęcony wspomnieniom pierwszego listopada i pamięci poległych w obronie miasta. Tembardziej uroczysty, że połączony z chrztem sztandaru pierwszej załogi obrony Lwowa, ofiarowanego przez mieszczanina lwowskiego obrońcom miasta.

Przed żałobnem nabożeństwem za poległych w kościele św. Elżbiety, dokonał poświęcenia sztandaru przeor Zakonu Dominikanów O. Gundysław Junik. Rodzicami chrzestnymi sztandaru byli: generałowa Jędrzejowska z por. Marszałkowiczem, pani Michalina Trześniowska (matka ś. p. Trześniowskiego) z fundatorem sztandaru panem Stanisławem Hessem, p. Wacławowa Trześniowska z prezesem Towarzystwa uczestników powstania 1863 r. p. Wojciechem Biechońskim, w zastępstwie wojewody Grabowskiego rad. Zimny z p. Grabską, p. Thuliowa z hr. Dzieduszyckim, por. Szymańska z st. rad. kolej. Gryglewskim, p. Łazowska z dr. Zakrajsem. Sztandar koloru ponsowego zdobi haftowany srebrem obraz młodego żołnierza polskiego, z drugiej strony srebrny orzeł i napis: „Obrońcom Lwowa — mieszczanin lwowski". Poświęciwszy sztandar, O. Junik zwrócił się z gorącem słowem do żołnierzy, wskazując im obowiązki żołnierza-Polaka.

Pamięci poległych.

Dzień 2. listopada poświęcił Kościół katolicki pamięci zmarłych, w dniu tym zbierają się też na cmentarzach wszyscy ci, którzy mają tam kogoś sercu drogiego, by ozdobieniem jego grobu i westchnieniem dać dowód, że o nim nie zapomnieli. Nie każdemu jednak danem jest, aby w tym smutnym dniu mógł odwiedzić miejsce wiecznego spoczynku swych bliskich. Zwłaszcza w czasie ostatniej wojny śmiertelne szczątki naszych ojców, braci i towarzyszów pozostały daleko poza granicami rodzinnego kraju, rozrzucone niemal po całym świecie, pamięć ich czczą pozostali zdala od miejsca ich snu wiecznego.

W tym okresie odbywają się też po naszych kościołach nabożeństwa żałobne za spokój dusz zmarłych, a urządzają je tak poszczególne osoby lub rodziny, jak i zbiorowe korporacye.

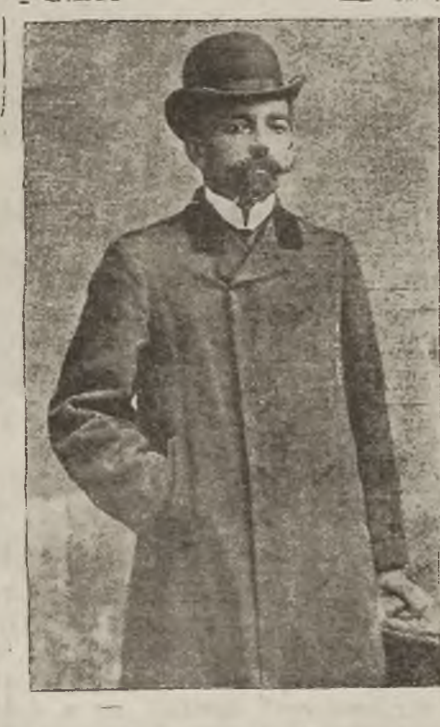
I częstochowski 27. pułk piechoty niezapomniał o swych towarzyszach broni, którzy młode swe życie złożyli na ołtarzu Ojczyzny, broniąc dzielnie jej granic przed najazdem wroga. Mogiły ich to kurhany strażnicze na kresach Rzeczypospolitej, ku którym dziś kieruje się serce i myśl tych, co pozostali, by prowadzić dalej dzieło, przez nich tak chlubnie rozpoczęte.

Wojenne Zaduszki garnizonu częstochowskiego odbyły się w sposób bardzo uroczysty przy udziale wojskowości, władz cywilnych i tłumnie zebranej publiczności, chcącej w ten sposób oddać cześć pamięci bohaterów, sercu ich tak bliskich, gdyż 27. pułk rekrutuje się z Częstochowy i najbliższych jej okolic.

Z inicyatywy wojskowości odbyło się w kościele garnizonowym nabożeństwo żałobne, odprawione przez kapelana ks. Peche, który następnie w gorących słowach przemówił do zebranych, podnosząc męstwo i poświęcenie bohaterów zasługujących sobie swą wierną służbą dla Ojczyzny na wdzięczność całego polskiego społeczeństwa. Po nabożeństwie, na którem był obecny cały garnizon częstochowski, odbyła się defilada poszczególnych oddziałów przed jenerałem Pogorzelskim, korpusem oficerskim i przedstawicielami władz cywilnych, które przybyły prawie w komplecie ze starostą p. Kazimierzem Kühnem na czele.

Delegacya Huculów w Warszawie.

Tak się jakoś dziwnie złożyło, iż w tym samym właśnie czasie, gdy inteligencya „zachodnio-ukraińska", zamieszkująca wschodnią część Małopolski, przygotowywała się do jawnego wystąpienia przeciw rządowi polskiemu, w Warszawie bawiła delegacya ludu ruskiego z tej samej części kraju, przybyła tam celem złożenia hołdu Naczelnikowi Państwa i przedstawienia swych próśb i dezyderatów. Byli to Huculi z powiatu kosowskiego, zatem z zakątka najdalej na południe wysuniętego, mieszkańcy prześlicznych górskich okolic, stosunkowo mało znanych, a przecież tak zasługujących na bliższe poznanie.



Nad mogiłą polskiego satyryka: Sp. Antoni Orłowski (Krogulec), długoletni współpracownik warszawskiej „Muchy".

Bawiła ona w Warszawie od dnia 21 do 28 października, aby w stolicy Polski wejść w kontakt z rządem naszym i szukać z nim porozumienia, tembardziej, że Huculi cieszyli się zawsze sympatyą u nas i do Polaków odnosili się po sąsiedzku, jak należało. Ich podróż do Warszawy zadaje kłam opowiadaniom „nieprzejednanych" polityków ruskich, którzy wyjazd do Warszawy utrudniali i twierdzili, że Rusini wszyscy odnoszą się wrogo do naszej państwowości. Zamach lwowski na „Najjaśniejszego Pana Naczalnyka" wyjazd przyspieszył. W Warszawie umieszczono delegatów w domu Białego Krzyża. W Sejmie powitał Huculów przybyłych w swoich strojach, w serdakach barwnych, z torbami skórzanemi i toporkami góralskimi, poseł podhalański z Zakopanego Roj, poczem odbyli konferencyę z Witosem. Delegacya przedłożyła szereg żądań politycznych, gospodarczych i kulturalnych posłom i ministrowi Skirmuntowi, przez usta wójta z Żabiego, Dutczaka, wreszcie udała się do min.



Otwarcie i poświęcenie gimnazyum państwowego w Miechowie: Budynek szkolny wzniesiony ofiarnością miejscowego i okolicznego obywatelstwa.

spraw. wewn., gdzie ją przyjął życzliwie wicemin. Dunikowski. Na bankiecie zapewniono Huculów, że rząd uczyni wszystko dla poprawy losu ludności huculskiej. Przyjęcie miało bardzo serdeczny i przyjacielski charakter. Byli też Huculi u ministra aprowizacyi i sprawiedliwości, a wszędzie przyjęto ich serdecznie i życzliwie i przyrzeczono pomoc, o jaką prosili. Zwiedzili parę eatrów. Na przedstawieniu „Pana Twardowskiego" spotkali się z delegacyą gdańską. Na zakończenie swego pobytu zjawiła się delegacya u Naczelnika Państwa, którego osobą i łaskawem przyjęciem została wręcz oczarowana. Do Naczelnika przemówił wójt z Zabiego, Dutczak, wyrażając hold i zapraszając Naczelnika do zwiedzenia gór. Naczelnik z zainteresowaniem oglądał barwne stroje huculskie i wypytywał delegatów o potrzeby i szczegóły ich życia. Huculi spotkali się na gruncie warszawskim wszędzie z przyjęciem życzliwem, o jakiem nie marzyli. Zaproszeń im nie brakowało. Konieczność historyczna, racya stanu i życiowe potrzeby wzajemnego zbliżenia okazały się silniejsze, aniżeli zaślepienie.



Ćwierć wieku na katedrze uniwersyteckiej: Profesor medycyny sądowej na Wydziale lekarskim Uniw. Jag., dr. Leon Wachholz.

Nad mogiłą polskiego satyryka.

Piśmiennictwo polskie poniosło stratę przez śmierć ulubieńca Warszawy, nieocenionego satyryka i humorysty, śp. Antoniego Orłowskiego, znanego całemu polskiemu społeczeństwu pod literackim pseudonimem „Krogulca".

Za czasów rządów rosyjskich warszawski tygodnik humorystyczny „Mucha" był jedynem może pismem, które pozwalało sobie na mówienie prawdy zaborcom i temu zawdzięczało swą popularność, ale i prześladowania ze strony rosyjskiej cenzury. A duszą jej był właśnie „Krogulec", który pracował w redakcyi „Muchy" od r. 1889. aż do ostatnich chwil swojego życia.

Utalentowany poeta, cięty satyryk i humorysta, cieszył się śp. Orłowski nadzwyczajną wziętością w całem społeczeństwie b. Kongresówki. „Mucha" była ulubioną lekturą nie tylko Polaków, ale i Rosyan, niemiłosiernie nieraz, ale i dowcipnie i wytwornie branych w szpony przez „Krogulca". Do ostatnich chwil nie opuszczała go młodzieńcza werwa, gorący patryotyzm i chęć służenia swemu społeczeństwu w myśl dewizy: *Ridendo castigare mores.*

Urodzony w Łęczycy w r. 1869. jako syn lekarza wojskowego, tamże rozpoczął studya, które kontynuował następnie w Warszawie i Charkowie. Talent poetycki ujawniał już w latach szkolnych. Z czasów pobytu w Łęczycy pochodzą bardzo udatne ulotne jego wierszyki, z latami talent poetycki rósł i potężniał, w dziale poezyi satyrycznej zajął wkrótce jedno z pierwszych miejsc. Prócz „Muchy" zasilał swem piórem także i inne pisma warszawskie i prowincyonalne, przez pewien okres także i krakowską „Nową Reformę", gdy w r. 1906 podzielił los wielu innych działaczy społecznych, skazany „administracyjnym porządkiem" na zesłanie. Podobny los spotkał go i w czasie wojny światowej, zmuszając do tułaczki po różnych miastach w głębi Rosyi. Scena polska otrzymała od śp. Orłowskiego trzyaktową farsę wierszem: „Protest strukczaszego", przez dwa lata wydawał on pismo dla dorosłej młodzieży pod tytułem: „Naokoło Swiata".

Człowiek o rzadkich przymiotach serca i umysłu potrafił sobie jednać wszystkich, nie wyłączając nawet ofiar swego satyrycznego pióra, które uznać musiały, że gryzł wprawdzie, ale „gryzł sercem". Nie miał też nieprzyjaciół, a przedwczesny jego zgon okrył żałobą mnogie rzesze wielbicieli jego talentu. Z śp. Orłowskim schodzi do grobu wybitny poeta, zasłużony działacz społeczny i tak rzadki dziś u nas prawdziwy satyryk.

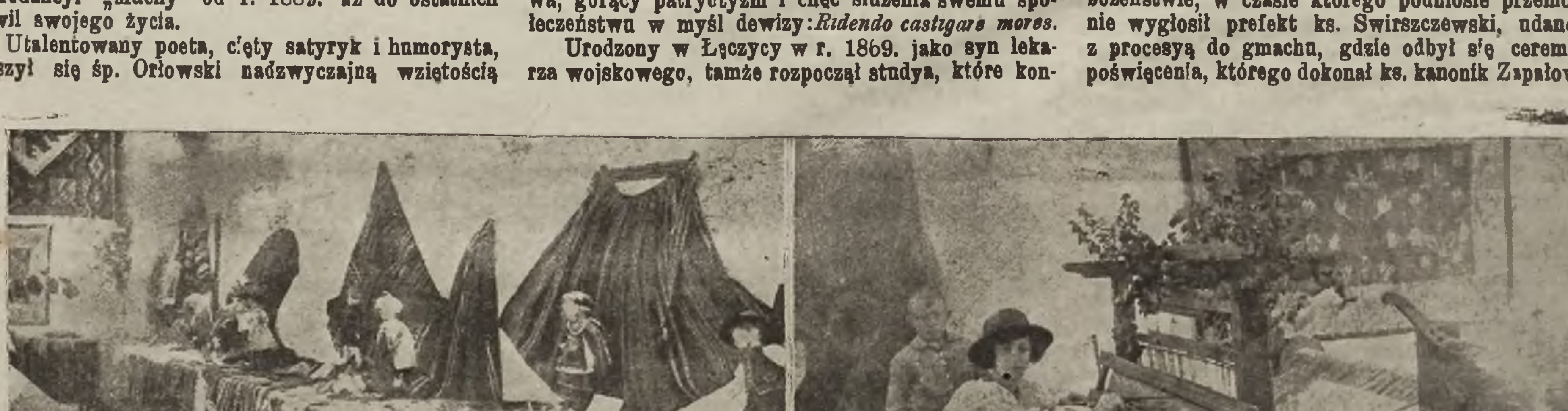
Sp. Orłowski zmarł w Warszawie w dniu 1. listopada b. r.

Otwarcie i poświęcenie gimnazyum państwowego w Miechowie.

Dnia 29 września br. miasto Miechów przeżywało piękną chwilę. W tym dniu bowiem odbyło się uroczyste otwarcie i poświęcenie nowego gmachu przeznaczonego na gimn. imienia T. Kościuszki. Po nabożeństwie, w czasie którego podniosłe przemówienie wygłosił prefekt ks. Swirszczewski, udano się z procesyą do gmachu, gdzie odbył się ceremoniał poświęcenia, którego dokonał ks. kanonik Zapałowski.



Wystawa przemysłu ludowego w Częstochowie: Grupa członków Komitetu Wystawy.



Wystawa Przemysłu Ludowego w Częstochowie: 1) Sala z ubiorami ludowymi z różnych okolic kraju. 2) Warsztat kilimkarski.

JADWIGA MIGOWA.

PANTERKA

(Powieść współczesna).

11)

— Nie, nie gniewam się, ale niech pan pamięta, że ze mną to tak nie można — ręka Sternagla coraz śmielej poprzez cienką tkaninę sukni szukała jej ciała — pan sobie myśli, że jak ja przyszłam na kolację, to już wolno panu...

— Ach, gdyby mi było wolno! czy mogę mieć jednak nadzieję, że kiedyś mi będzie wolno!

— E, także coś! My się tak mało znamy...

— Ja właśnie pragnę, żebyśmy się poznali... Czy pani jutro przyjdzie do mojego sklepu?

— Jak będę miała jakiś sprawunek, to przyjdę.

— Dostałem transport wspaniałych paryskich perfum!

— Cóż ten durny myśli, że on mnie na głupie perfumy weźmie — zaśmiała się w duchu Stefa i oddała znowu uścisk malarzowi.

Reszta towarzystwa była już zupełnie zaczadzona alkoholem. Zośka kompletnie pijana, złożyła głowę na ramieniu Olczaka i szlochając, skarżyła się na swój „psi" los.

— Panie redaktorze, niech się pan zaopiekuje nieszczęśliwą sierotą... Bo ja już nie mogę... nie mogę...

— Zaopiekuję się... zaopiekuję... kwiecie lotosu, kapłanko podkasanej muzy — bełkotał Olczak -- krowiento jakaś!... — wrzasnął nagle i pochwycił kieliszek wina.

— Niech żyje Bąbel!... i jego potomstwo!... Bąbel!... Antoś, pożycz pięć tysięcy!... Będę ci za to do chrztu trzymał szóstego syna — ja — przedstawiciel prasy!...

— Milcz!... milcz!... kiedy ja mówię!... — perorował Brzeżkiewicz, który spojrzał nań ponuro. — Czy ty wiesz, nędzny reporterzyno, kto to jest Apolinary Brzeżkiewicz!... Przeklęta dola!... przeklęty los!...

Pijacki toast Olczaka wywołał niespodzianą reakcyę u Bąbla. Roznamiętniony mężczyzna, pijany szampanem i kobietą, ustąpił nagle przed innym zgoła człowiekiem... Przestał świdrować Stefę wzrokiem, usunął rozpaloną, chciwą dłoń z jej ramienia i przetarł czoło...

Zdało mu się, jakby rozstępowały się czerwoną tapetą obite ściany gabinetu... A poza niemi ściele się śnieżny szlak nocy zimowej, wiodący labiryntem ulic do dobrze znanego domu, gdzie w zacisznem mieszkaniu czeka nań w tej chwili rodzina... Z obłoku dymu tytoniowego wyłaniają się trzy płowe główki, modre oczęta migocą jak gwiazdki... Poprzez gwar zmieszanych głosów, brzęk kieliszków i talerzy, ochrypły śpiew Olczaka, który intonuje: „Ady mi to Kasiu brdenie — ja się dzisia z tobą żenie" — przebija się cieniutki głosik ulubienicy ojca Krzysi: „Tatusiu!... tatusiu!"...

Pod naniesionym przez falę życia mułem sobkostwa i próżności promienieje różowa, bezcenna perła prawdziwego, czystego uczucia... I chwyta żal za serce — woła tęsknota... Oni tam czekają... czekają...

— Panie Bąbel!...

Na dźwięk tego wezwania budzi się Bąbel z zadumy i spogląda na Stefę niezupełnie przytomnie. A ją w tej chwili instynkt drapieżnej samiczki ostrzega, że ofiara może jej się wymknąć...

— Panie Antoni!... O czem pan tak myśli?... dlaczego pan posmutniał?...

— I zabrzmiało to tak pieszczotliwie, tak kusząco przegięła się postać dziewczyny, taki gorący oddech owiał jego twarz, że wizya, wyczarowana słowami Olczaka, znikła, rozwiała się w nicość... usta Stefki czerwone są i soczyste jak dojrzałe wiśnie, rozchylone lekko wyzywają do pocałunku... Zielone oczy fosforyzują i magnetyzują niby oczy węża...

— Nie jestem smutny wcale!... bo ty jesteś przy mnie!... ty!... ty!... usiami sięga do miękkiego, śnieżnego policzka — do warg szkarłatnych, pełnych, zmysłowych...

Sternnagel wykręca Stefce z wściekłością palce, potem zrywa się i rzuca krzesłem o podłogę.

— Psiakrew!... Dziewka!... — klnie przez zęby.

Stefka odchyla głowę:

— Dosyć... dosyć... patrzą się...

— Kiedy się zobaczymy, najpiękniejsza?... kiedy?...

— Nie wiem...

— Przyjdę jutro do teatru?...

— Ale ja mieszkam z matką... Ona mnie pilnuje...

— A... czy to musi się mieszkać z matką?...

— Naturalnie!... jakże inaczej młoda dziewczyna z porządnej rodziny... Mój ojciec był urzędnikiem w uniwersytecie — przypomina sobie nagle Stefa gadaninę matki — a zresztą... skądżebym wzięła na osobne mieszkanie?...

— Ja urządzę mieszkanko... śliczne... wygodne mieszkanko.

— Proszę pana! co pan sobie myśli... ja nie jestem taka... co się panu zdaje...

— Ja... ja tylko pożyczę na wynajęcie i urządzenie mieszkania...

— A jak pożyczka, to co innego. Pożyczkę mogę przyjąć, ale kwit panu wystawię...

— Pocóż między dobrymi przyjaciółmi kwitów... Słowo wystarczy...

— No! to prawda, że między dobrymi przyjaciółmi...

Stefa miałaby wielką ochotę dowiedzieć się zaraz o wysokości tej przyszłej „pożyczki", ale boi się popsuć sprawę... Nagle z fotograficzną dokładnością odbija się na tkankach jej mózgu obraz Chaniewskiego i... ogarnia ją lęk...

— Panie! chodźmy stąd!... już późno!...

— Zaraz!... zaraz!... — tylko zapłacimy!...

Brzeżkiewicz z ponurego nastroju wpadł w awanturniczy i wymyśla Sternaglowi:

— Idyoto!... kretynie!... wyskrobku żydowski!... ty chcesz się mierzyć ze mną, Apolinarym Brzeżkiewiczem!...

— Odczep się stary durniu!...

Olczak, objąwszy ramionami Zośkę, ryczał zbyt wesołą piosnkę.

— — — — — — — — — — — — — — —

— Na co czekamy! Zimno!... — zawołała Stefka, obwijając się swoim, dość cienkim płaszczem.

— Zimno!... — dzwoniła zębami Zośka.

Wyrwane z przegrzanej atmosfery, rozpalone alkoholem, dygotały teraz z zimna pod tchnieniem mroźnej, jasnej, księżycowej nocy.

W tej chwili będą dorożki!... — uspakajał Stefę Bąbel, trzymając ją pod rękę. — Jeszcze moment zaczekamy!...

— Dobrze panu w pańskich bobrach!... ale ja się trzęsę w tym płaszczu!...

— Będzie pani miała śliczne, cieplutkie futro!...

— Aha!... czekaj tatka latka, a tymczasem zmarznę, zaziębię się, rozchoruję!... Gdzież te dorożki?...

— Już nadjeżdżają!... — rzekł Sternnagel, który cisnął ku sobie drugie ramię Stefy.

Całe towarzystwo, zbite w gromadkę, czekało przed zamkniętym już i ciemnym lokalem restauracyjnym na owe dorożki, po które wysłano otrzeźwionego już nieco Brzeżkiewicza. Ulica, oprószona śniegiem, skąpanym w srebrnem świetle księżyca, była zupełnie pusta i biała.

W tej srebrzysto-białej jaśni odcięła się ostro ciemna sylwetka wysokiego mężczyzny. Wynurzył się z przecznicy i szedł krokiem śmiałym, równym, sprężystym. Z pod puszystej, futrzanej czapki błysnęła twarz w tem księżycowem oświetleniu bajecznie wprost piękna.

Stefa targnęła się nagle:

— Rom!... — krzyknęła, nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, co robi. Przechodzeń nie spojrzał nawet w jej stronę, spokojnie szedł.

— Rom!... Rom!... — usiłowała wydrzeć rękę przytrzymującym ją Bąblowi i Sternnaglowi i biedz za Króleckim, który oddalał się szybko. Straciła zupełnie panowanie nad sobą. Odurzona alkoholem, podniecona przeżyciami wieczoru, oszołomiona tem niespodziewanem zjawieniem się Króleckiego, rwała się ku niemu z całą gwałtownością swojej drapieżnej, zmysłowej natury, zwolnionej na chwilę z wędzideł konwenansu i wyrachowania.

— Panno Stefanio!...

— Stefciu!... Co to znaczy?... co się dzieje?!...

— Upiła się dziewczyna „na glanc".

— Precz!... precz!... wstrętni jesteście!... wstrętni!... — rzuciła z brutalną szczerością. — Puśćcie mnie!...

Nie puścili jej jednak. Przemocą wpakowali ją do dorożki, w której rzucała się, krzyczała, chciała bić i drapać swoich towarzyszów, a w końcu wybuchnęła histerycznym płaczem.

— — — — — — — — — — — — — — —

Lampka z czerwonego szkła, płonąca przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej w sypialni Bąblów, rzuca na pościel krwawe refleksy. Przez porysowane mrozem szyby wdzierają się promienie księżyca i kładą jasnemi smugami na podłodze, ślizgają po ścianach...

France Bąblowej straszno jakoś... Zda się jej, że po pokoju snują się fantastyczne cienie... unosi głowę z poduszki i żegna się:

— W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego... O! Matko Przenajświętsza! żeby ten Antoś już wrócił!... o]! żeby wrócił!... Gdzie on siedzi? gdzie?... Czy on już całkiem zapomniał, że ma dom... czy on już ze szczętem serce stracił dla żony i dla dzieci...

I zegar w sąsiednim pokoju bije godzinę trzecią... Pięcioletnia Krzysia, któ.ej łóżeczko ustawione jest pod ścianą niedaleko łóżka matki, obudziła się nagle.

— Mamusiu...

— Co, córeczko?... co robaczku?... Dlaczego nie śpisz?...

— Tak mi się coś śniło o tatusiu... Gdzie tatuś...

Matce oczy nabrzmiewają łzami.

— Śpij!... dzieciątko moje!... śpij!... Tatuś zajęty!... ale zaraz przyjdzie...

— Tatuś teraz ciągle zajęty! — skarży się dziecko i podłożywszy piąstkę pod spoconą buzię zasypia znowu.

Matka usnąć nie może. Czeka nadsłuchuje. Na ulicy skrzypią jakieś kroki. Może już mąż wraca... Nie!... kroki mijają bramę... To jeszcze nie on.

Głowa kobiety opada. Nawpół zaplecione płowe włosy rozsypane po poduszce nasiąkają gorącą wilgocią kropel, toczących się jak płynne perły po rzęsach... Wątłą piersią wstrząsa szlochanie...

I cóż z tego, że może sobie teraz trzymać sług', które jej zatruwają życie grymasami i impertynencyą, może oglądać codziennie swoją mizerną postać w wielkich, pięknie szlifowanych lustrach, że mogłaby grać na fortepianie, gdyby grać umiała i że wolno jej przewracać się szarpanej troską niepokojem, po wspaniałem, mahoniowem łóżku i nasycać goryczą też puchowe poduszki, obleczone w wykwintną, cienką webę?...

Oj! nie przyniósł szczęścia ten wielki majątek — tak szybko zrobiony, którego im wszyscy zazdroszczą... Z początku to i ona się cieszyła, pysznila obszernem mieszkaniem na pierwszem piętrze od frontu, nowymi meblami, kosztownymi strojami, ale gdy Antoś zaczął się odmieniać, unikać domu, przebywać ciągle w towarzystwie jakichś obcych ludzi, wstydzić się żony!... bo on się wstydzi!... naprawdę wstydzi!...

— Oj!... Jezu!... Jezu!... gardłem wyłażą mi te wszystkie dywany i leguminy!...

Kiedy szła za mąż za niego, bardzo skromnie płatnego posługacza w aptece, o!... otwarcie rzec by można parobka!... nie marzyła nigdy o tem, że zostanie taką bogatą panią i chodzić będzie w aksamitach, ale też ani jej przez głowę nie przeszło, aby ten dobry Antoś, co tak poczciwie na nią patrzył, miał kiedy dla niej serce stracić... Poślubiła go przecież ze szczerego przywiązania, odrzuciwszy rękę starego majstra stolarskiego, którego swatała jej usilnie matka, właścicielka niewielkiej pralni...

I coi.rze im było ze sobą, choć z groszem bardzo liczyć się musieli i mieszkali w jednej stancyjce z piecem kuchennym, umeblowanej najprostszymi sprzętami...

A kiedy przyszło na świat pierwsze dziecko. Jaś, który licząc dwa latka, umarł na szkarlatynę, jakże się Antoś cieszył!... I kupił żonie za syna piękny pluszowy żakiet, a kiedy gromiła go za niesłychany na ich warunki finansowe wydatek, odparł z uśmiechem:

— Nie bój się!... Jeszcze ty nie takie stroje będziesz miała! ja za mam głowę nie od parady!...

Przyrzeczenia dopełnił. W czasie wojny zaczął robić jakieś interesy, na których Franka nic się nie rozumiała i w przeciągu paru lat stał się właścicielem najelegantszej w mieście drogueryi oraz panem milionowej fortuny...

— No i co z tego? co z tego?... Aksamitami serca nie uspokoi, kiedy boli!... Zresztą Antoś nawet skąpszym teraz się robi dla żony i dzieci... Z tymi jakimiś przyjaciółmi swoimi pieniądze traci... A może i z kobietami?... Może on sobie jakąś inną znalazł!...

(Ciąg dalszy nastąpi).

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłomaczenie z angielskiego Marji Starzewskiej.

TOM II.

Mimo woli dzika ironia przebiła się w trzech ostatnich wyrazach. Przestraszyła się i zaczęła kaszleć otulając się płaszczem, przyczem musiała wysunąć swą rękę z dłoni Nigla i była temu rada.

— Nałykałam się tyle piasku i kurzu w pociągu — rzekła.

Wyciągnął znowu swą dłoń, żeby ująć jej rękę i musiała ją dać.

— Będę spał tej nocy — rzekł — gdyż powziąłem postanowienie. Gdybym tego nie uczynił — gdybym podszedł za pierwszą moją myślą... wiem, że nie mógłbym zasnąć. Wiem, że nie mógłbym.

Patrzała na niego w milczeniu.

— Ruby, pamiętasz pierwszy nasz wieczór tutaj?

— Tak — rzekła z wysiłkiem.

Czy nigdy nie skończy? Czy nigdy nie puści mojej ręki? Nigdy nie puści jej do Nilu, do tej barbarzyńskiej muzyki?

— Myślę, że byliśmy bliscy siebie wtedy. Lecz... lecz sądzę, że jesteśmy o wiele bliżsi teraz. Prawda?

— Tak — rzekła.

— Bliżsi, gdyż wypróbowałem ciebie; wypróbowałem przez cały ten straszny czas mojej choroby.

Ujął silniej jej rękę.

— Ale ty, może, nie wypróbowałaś mnie, jak ja wypróbowałem ciebie.

— Oh, nie wątpię o...

— Nie, ale chcę, żebyś mnie rozumiała, tak jak sądzę, że rozumiem ciebie. I dlatego powiem tobie coś... coś okropnego.

Jego głos uroczysty zastanowił ją.

— Okropnego? — szepnęła.

— Tak. Nie chciałem tobie o tem mówić. Jednak, kiedy przyspieszyłaś swój powrót do mnie, nie załatwiwszy nawet wszystkich twoich interesów, uczułem, że powinienem powiedzieć, że jest twojem prawem to wiedzieć.

Milczała. Nie wiedziała o co chodzi.

— Jest twojem prawem to wiedzieć.

Zatrzymał się. Nie patrzał teraz na nią, lecz wprost przed siebie, w ciemność.

— Przeszłego wieczoru Isaacson i ja siedzieliśmy tutaj.

Poruszyła się na dźwięk tego nazwiska.

— Pytałem się go, na co właściwie chorowałem. Co to była za choroba. Powiedział mi, że później powie. To było przedtem.

Znowu spojrzał na nią.

Usta jej starały się wymówić — tak.

— Kiedy po obiedzie siedzieliśmy tutaj, znowu go prosiłem, żeby powiedział. To było już po otrzymaniu twego telegramu.

Skinęła głową.

— Wiedział, że przyjedziesz o dzień wcześniej, niż oczekiwaliśmy.

Znowu skinęła głową.

— I powiedział. Powiem tobie co powiedział. Powiedział, że zostałem otruty... ręka jej zadrżała w jego dłoni... — ołowiem podawanym mi w bardzo małych ilościach przez dłuższy przeciąg czasu.

— Otruty!

— Tak.

— I... i uwierzyłeś temu?

— Tak. W takich razach Isaacson się nie myli.

— Otruty! — powtórzyła.

Wymówiła ten wyraz bez zgrozy, której się spodziewał, lecz jakby machinalnie. Pomyślał, że może skutkiem zdumienia.

— Lecz to nie wszystko — ciągnął dalej trzymając wciąż jej rękę. — Spytałem się, kto na Lonlii mógł pragnąć mojej śmierci.

— Oto... oto właśnie, o czem myślę — rzekła.

— A wtedy powiedział okropną rzecz.

— Jaką?

— Powiedział, że ty to uczyniłaś.

Wyrwała swą rękę z jego dłoni i oparła się o poręcz fotelu. Siedziała bez ruchu. Patrzeli na siebie. Milczenie ich było wciąż przerywane śpiewem dochodzącym z Lonlii.

A więc to zostało wypowiedziane!

Isaacson odkrył całą prawdę i wyjawił ją Niglowi!

Uczuła niepokój połączony z ulgą. Siedząc tak, zdawała się patrzeć nie na Nigla, lecz wewnątrz siebie.

— Powiedział, że ty to uczyniłaś sama, albo ktoś inny za twoją wiedzą.

Pozostawała milcząca i bez ruchu. Z myślą o wyjawionej prawdzie Niglowi, łączyła się myśl o dziewczynie z Barondim na łodzi.

— Wtedy kazałem mu wyjść, albo że go sam wyrzucę.

— Ah — zawołała.

Było pewne gorzkie zdziwienie w tym wykrzykniku.

— Wyszedł, lecz przedtem powiedział mi jeszcze... jeszcze inne rzeczy.

Coś w jej twarzy, czy zachowaniu, czy śmiertelnem milczeniu przerwanem tylko prawie sarkastycznym wykrzyknikiem, zaczęło go dziwić.

— Inne rzeczy — powtórzył.

— Jakie?

— Powiedział, że przyjechał z Anglii, gdyż podejrzywał, że było coś złego. Że spotkał ciebie w świątyni Edfu, że widok jego ciebie przestraszył, że to nie ty prosiłaś go, żeby przybył do mnie na Lonlię, lecz, że to on prosił, a ty się sprzeciwiłaś. Powiedział, że przysłałaś nawet list, prosząc, żeby nie przychodził. Dał mi ten list. Oto jest. Nie czytałem go.

Włożył rękę do kieszeni, wyjął z niej list, a zarazem pozłacaną szkatułkę, którą Barondi jej dał w pomarańczowym ogrodzie.

— Oto list — rzekł.

Położył go na stole.

— Znalazłem to w twoim pokoju, szukając płaszcza — rzekł. — Pełna wschodnich kosmetyków.

Oczy jego patrzały pytająco.

— Kupiłam ją wczoraj w Kairze.

Postawił ją.

— Pomimo tego listu... mówił Isaacson... podszedł tego wieczoru i usłyszał naszą rozmowę na balkonie; dowiedział się z niej, że pragnąłem, żeby był w Egipcie.

Zatrzymał się znowu. Jego własne opowiadanie zdawało się coś w nim budzić.

— Dlaczego mi nie powiedziałaś wtedy, że jest w Egipcie? — zapytał.

Ledwo podniosła brwi. Ledwo mogła usiedzieć. Miała dziwne silne uczucie fatalizmu.

— Czy skutkiem tak silnej nienawiści do Isaacsona?

— Tak.

— Ale... ale kiedy wszedł do mnie, powiedziałaś, że go sprowadziłaś. Powiedziałaś, że w świątyni prosiłaś go, żeby przyszedł. Pamiętam to doskonale.

— Czy tak? — rzekła.

— Tak. Dlaczego to powiedziałaś?

— Nie pamiętam.

— Nie... pamiętasz...?

Powstał zwolna z krzesła.

— Lecz... lecz najdziwniejszą, rzecz, którą Isaakson powiedział...

Położył rękę na poręczy krzesła i nachylił się trochę do niej.

— Powiedział, że w końcu zmusił ciebie, żebyś dozwoliła jemu mnie leczyć... grożąc, że jeśli go nie dopuścisz, wezwie policyę.

Nie odezwała się. Wszystko co mówił, spływało po niej jak woda i nie miało dla niej większego znaczenia. Widocznie za długo walczyła, za długo się szarpała i natura zemściła się tą straszną obojętnością, która nastąpiła po tylu trwogach i walkach, po wymuszonej, rozpaczliwej cierpliwości.

— Ruby!

* * *

— Ruby!

— Co? — spojrzała na niego — co takiego?

— Nic nie mówisz!

— Po co? Co chcesz, żebym powiedziała?

— Chcesz! ja... lecz...

Nachylił się.

— Ty... ty nie myślisz... że... ja...

— Co?

— Powiedziałem ci to wszystko, żeby pokazać moje zupełne zaufanie do ciebie. Tylko dlatego, żeby między nami nie było żadnego cienia, jakim mogłaby być jakaś rzecz ukryta.

— Ah!

— Jeżeli są rzeczy, których nie rozumię — wiem, że mi je wyjaśnisz. Prawda?

— Nie dzisiaj. — Nie mogę nic wyjaśnić dzisiaj.

— Nie! jesteś zmęczona. Jutro... jutro!

— Ah! — powtórzyła.

Pochylił się nad nią i ujął jej obie ręce.

— Chodź ze mną na górę! Chodź!

Wstała.

— Chodź! Przekonam ciebie... przekonam...

Była jakby jakaś rozpaczliwa, dzika namiętność w jego zachowaniu. Starał się pociągnąć ją w stronę domu. Oparła się.

— Ruby!

— Nie pójdę!

Zatrzymał się.

— Ruby! — rzekł znowu innym już głosem.

— Nie pójdę!

Puścił jej ręce.

— A więc nie wierzysz temu, co Isaacson powiedział? — rzekła.

Jedyną myślą jej było: — Zmuszę go do oddania mi wolności! Zmuszę go do oddania mi wolności, tak, żeby Barondi mógł mnie wziąć.

— Co? — rzekł.

— Nie wierzysz temu, co Isaacson powiedział? — powtórzyła.

— Wierzyć! Wypędziłem go!

— Ty szaleńcze! — zawołała, czyniąc krok do niego.

Chwyciła złoconą szkatułkę ze stołu. Wyrwał jej z ręki.

— Kto... kto? — zapytał zbielałemi wargami.

— Mahmud Barondi — rzekła.

— Szkatułka wypadła z jego rąk na taras, przybory do upiększania, których tak nienawidził rozsypały się po ziemi.

Odwróciła się, otuliła płaszczem i pobiegła na brzeg Nilu.

— Ibrahim! Ibrahim!

— My lady!

— Podaj mi rękę! Pomóż mi! Prędko!

Ledwie, że nie spadła z brzegu.

— Gdzie jest czółno?... ah!

Potknęła się wstępując na nie i o mało nie upadła.

— Odbijaj!

Siadła na wąską, twardą ławeczkę i patrzała na światła Lonlii.

— Jest dziewczyna na łodzi — rzekła po chwili.

— Tak, my lady, dziewczyna. Czy Mahmund Barondi będzie zadowolony z naszego przybycia, nie wiem.

— Ibrahim!

— My lady!

— Jak tylko wstąpię na Lonlię, odpłyń. Zabierz czółno prosto do Luksoru.

— Zostawić panią?

— Tak. Wrócę... feluką Barondi'ego.

— Mogę zostać, zaczekać, aż pani będzie chciała wrócić.

— Nie, nie. Nie chcę tego. Obiecaj mi, że zabierzesz czółno natychmiast.

— Wszystko, czego pani sobie życzy, mieć musi — szepnął.

— Jak głośno żeglarze śpiewają — rzekła.

Zbliżali się do Lonlii. Mrs. Armine patrzała pałającemi oczyma na oświecone okna kajut, na górny pokład, na balkon, na którym tak często wysiadywała z Niglem. W gorączkowem podnieceniu zapomniała o fizycznem zmęczeniu, zapomniała o wszystkiem, myślała tylko, że nareszcie jest blisko Barondi'ego. Mąż przestał już dla niej istnieć. Zapadł się na zawsze w przeszłość. Nie rzeka, ale przepaść ich dzieliła.

— Barondi! Barondi! Barondi!

Nareszcie może otwarcie należeć do Barondi'ego.

W obecnej chwili zapomniała nawet o sobie, o swym wyglądzie. Obudziła się w niej kobieta zdolna czuć.

Czółno dotknęło się boku Lonlii. Nubijczyk się ukazał. Śpiew nagle umilkł. Mrs. Armine spiesznie weszła na łódź.

— Wracaj do Luksoru, Ibrahim! Wracaj zaraz.

— Już odbijam, My lady.

— Zatrzymała się, żeby się przekonać, odpływa. Dopiero kiedy czółno znalazło się na ciemnej wodzie odwróciła się. Stanęła twarzą w twarz z Hanzą.

— Hanza! — rzekła zdumiona.

Podłużne jego oczy patrzały na nią i pomyślała, że jest w nich groźba.

(Ciąg dalszy nastąpi).

M. JOKAJ.

RODZINA BARDY

NOWELA.

3)

Trybun zostawszy sam z młodzieńcem, skoczył na konia, położył zemdlałego przed sobą i nim wróciła krwiożercza tłuszcza, popędził nazad tą drogą, którędy przybył młodzieniec.

Jeszcze stało kilku powstańców koło mostu; trybun zakrył młodzieńca płaszczem, żeby nie widzieli, co wiezie i pędząc przed nimi, krzyknął:

— Chodźcie za mną do Topanfaloa.

Kiedy mu się zdawało, że już ich nikt nie widzi, skręcił nagle w lewo i jechał dalej stromą drożyną wśród gęstwiny.

* * *

Rozwidniało. Słońce rzucało blado-czerwone swe promienie na góry okoliczne.

Czasami ruszył się omdlały młodzieniec, szepcząc: „Jolanko". Promień słońca spoczął na jego twarzy i obudził go.

Znalazł się w małej schludnej izdebce, oświetlonej przez słońce, wciskające się małem okienkiem.

Łóżko, na którem leżał, z prostego wyciosane drzewa, zasłane było skórą niedźwiedzią: u nóg stał obrócony tyłem sążnisty mężczyzna i założywszy na krzyż ręce, wyglądał przez okno.

Przy pierwszem poruszeniu młodzieńca obrócił się ku niemu. Był to trybun.

— Gdzież jestem? — zapytał Emeryk odurzony, starając się przypomnieć przygody przeszłej nocy.

— U mnie w domu — odparł trybun krótko.

— Któż ty jesteś?

— Nazywam się Numa, jestem trybunem w wojsku rumuńskiem, nieprzyjacielem twoim w bitwie, a ty jesteś moim gościem, którego mam obronić.

— Czemuś mię nie zostawił na ofiarę twoim ludziom?

— Bo nierówną była walka. Stu przeciw jednemu.

— Gdyby nie ty, byłbym się przebił!

— Bezemnie byłbyś zginął. O dziesięć kroków dalej byliby cię niezawodnie ukamienowali ze skały.

— A ty nie chciałeś tego?

— Pewnie, bo byłoby to hańbą narodu rumuńskiego.

— Jesteś marzycielem, trybunie.

— Równie jak i ty. Znam cię z Klauzenburga. To, co ciebie zagrzewa, rozpala i mnie. Ty kochasz swój naród, ja mój ubóstwiam. Twój wykształcony, większy, mój podupadły, osierocony. Ciebie uszczęśliwia miłość ojczyzny, mnie nie daje odpoczynku. Ty chwyciłeś za szablę w obronie ojczyzny twojej, nie znając liczby nieprzyjaciół, to samo i ja uczyniłem; być może, że my zginiemy, ale być może, że i z was nie zostanie śladu, albo, że wspólnie zginiemy, ale nie zginie ojczyzna przez to, że się broń zawiesi na kołku.

— Nie rozumiem twego żalu.

— Nie rozumiesz? Czy uwierzysz młodzieńcze, że mimo przeszłości tysiąca czterystu lat, jak dzielne hufce Diurbanusa pokonane zostały przez rzymskie orły, tu wśród zgłupiałego narodu znajdują się jeszcze rodziny, u których z ojca na syna przechodzą wieści dawnej sławy, że są ludzie, którzy ci pokażą, który las stoi dzisiaj w Sarmisegethuzy i co to za miasto, gdzie niegdyś Decabal sławne kohorty konzulów szykował. Oh, biada temu miastu, kiedy te groby, nad którymi stoją pałace, otworzą się, a ludne jego ulice staną się placem boju. Cóż się to stało z tym narodem, spadkobiercą takiej sławy, z potomkami groźnych Daków i podbijających cały świat legionów. Ja nie oskarżam nikogo, że go unieszczęśliwił, ale niechaj mnie nikt za złe nie bierze, że chcę go uczynić tem, czem był przedtem.

— I zdaje ci się, że nadeszła do tego pora?

— My nie mamy proroków, ale wasi też nie dużo warci. Spróbujemy teraz, a jeśli się nie uda, powiórzą to nasi wnukowie, nie mamy nic do stracenia, co najwyżej kilku ludzi, a to tani towar. Wy więcej kładziecie na szalę, wy macie więcej do stracenia, a przecież biegniecie pod chorągwie bojowe. Cóż dopiero, gdybyście tem byli, czem my — narodem nic nie mającym, nie posiadającym jednego majętnego człowieka, jednej wykształconej głowy, gdzie prawie co trzeci nazywa się popem, a każdy ledwo setny umie czytać; narodem wykluczonym z urzędu, z dostojeństw, wegetującym z ciężkiej swej pracy i nie mającym ani jednego większego miasta w ojczyźnie, której jedną trzecią część uprawia. I czyż ma przyczynę pytać się ten naród, czy już czas umierać lub się odrodzić? Nie posiada nic prócz nędzy, a tej mu nikt nie odbierze. Nie dobrze ten zrobił, kto dopuścił, aby ten naród podupadł.

— My nie za naród, ale za wolność chwyciliśmy za broń.

— Źle zrobiliście. Mnie wszystko jedno, kto panuje nademną, byle był sprawiedliwym i wywyższył mój naród, gdy tymczasem ty podziwiłbyś się wielkością i siłą twego narodu, byle nikt nie panował nad nim.

Dziki krzyk przerwał rozmowę dwu przeciwników. Tłum Wołochów walił się w niełądzie ku pomieszkaniu trybuna, niosąc na przodzie znak zwycięstwa: czerwone czako huzara.

— Gdybym cię był opuścił, teraz zamiast czaka pokazywaliby twoją głowę.

Zgraja zatrzymała się przed okienkiem trybuna i spostrzegłszy go, powitała głośnym okrzykiem.

Trybun miał do nich krótką po wołosku przemowę, po której wystąpiło kilku krzycząc i wskazując na wywieszone na drągu czako.

Trybun zmięszany zwrócił się do młodzieńca, który tymczasem w kąt się wcisnął.

— Imię twoje napisane było na czaku? — zapytał przerażony.

— Tak jest.

— Nieszczęśliwy. Rozjuszony twoją ucieczką tłum przeczytał imię i chce napaść na wasze mieszkanie.

— I ty zezwolisz na to?

— Sprzeciwiać się nie mogę, bobym stracił zaufanie. Nie mogę zapobiedz temu.

— Wydaj mnie. Niechaj się zemszczą na mnie.

— To nic nie pomoże. Zdradziłbym się, żem cię uratował, a tem nie uratowałbym twojej rodziny.

— A jeśli wymordują te niewinne istoty, na czyją głowę spadnie ich krew niewinna?

— Na moją. Lecz daję ci sposobność odwrócić odemnie tę hańbę. Spełnisz?

— Mów.

— Przebierzesz się i pójdziesz szybko do Klausenburga, zbierzesz swoich towarzyszy i z nimi pospieszysz bronić swej strzechy ojczystej. Tam poczekam na ciebie i będziemy walczyć ze sobą, jeśli takie przeznaczenie; zabijesz mnie, albo ja ciebie, a walka nie będzie hańbą szeregów w otwartej szlachetnej walce.

— Dziękuję, dziękuję! — szepnął młodzian, ściskając gorąco dłoń śmiertelnego swego wroga.

— Spiesz się, tam leży siermięga, ubieraj się, bierz tę pażurę *) i gdyby cię kto zatrzymał, pokaż mu ją i powiedz imię moje; to nic nie szkodzi, że nie umiesz po rumuńsku, ludzie moi przyzwyczajeni do tego, bo mię często odwiedzają przebrani panowie węgierscy, a z twarzy, którą w nocy widziano, nie pozna cię żywa dusza.

Nim się przebrał młodzieniec, rozmawiał trybun z tłuszczą; zgodził się na żądanie i kazał wyruszyć na zamek, obiecując, że sam pospieszy za nimi niebawem.

— Przyjm na pamiątkę konia — rzekł młodzieniec do trybuna.

— Przyjmuję, możesz go sobie odebrać we walce, ale się śpiesz, żebyś się nie spóźnił. Opóźnienie przyniesie ci żałobę, a mnie hańbę.

Po chwili szybkim krokiem szedł młodzieniec ścieżką wiodącą wśród gór ku Klausenburgowi.

* * *

Było już po północy.

Mieszkańcy pałacu Bardy spali spokojnie. Zamknięte były drzwi sztachet, okna ciemne, kiedy naraz piekielna wrzawa przebudziła pogrążonych we śnie.

— Co to za hałas? — krzyknął Józef, wyskakując z łóżka i śpiesząc do okna.

Na dworze przy świetle kilku pochodni snuł się tłum niezliczony, wywijając wśród krzyku kosami i sierpami.

— Wołochy! — wrzasnął wbiegający koniuszy cały drżący, który przebudzony tym piekielnym wrzaskiem, wpadł do swego pana.

*) Paszport.

— Włochy! — krzyczy drugi, lecący w ślad pierwszego. Wszyscy bladzi jak ściana.

— Pozamykać drzwi! — rozkazuje młody pan przytomnie — główny wchód zabarykadować stołami jadalni. Zawołajcie Barabasza i starego, kobiety pójdą w tylną część budynku. Nie trzeba się mięszać. Wy wszyscy zejdziecie się w pokoju balkonowym, skąd można obronić cały budynek.

Zdjął dwie strzelby ze ściany i poszedł do pomieszkania swego brata Tomasza.

Ten już był ubrany. Dziwna rzecz. Najpiękniejszy wziął na siebie ubiór węgierski, u boku wisiała ciężka krzywa szabla; zresztą przechadzał się spokojnie. Z jego pokojów wychodziła wspomniana rondella.

— Czy słyszysz ten hałas? — zapytał go Józef, wchodząc z twarzą rozpłomienioną.

Tomasz ruszył ramionami.

— Spodziewałem się tego — odrzekł zimno, przechadzając się po pokoju.

— Czemuż nie zbierasz się do obrony?

— Do czego to? Wymordują nas. Byłem na to przygotowany i już jestem gotów. Tak być musi.

— Ale nie będzie, jeśli się będziemy trzymać odważnie. Ośmiu nas jest mężczyzn, mury pałacu są mocne, napastnicy bezbronni i nie sprzyja im nawet ich położenie. Możemy się bronić dni kilka, nim nadejdzie pomoc z Klausenburga.

— Zginiemy — odrzekł Tomasz zimno i ani jedna żyłka nie drgnęła na jego twarzy.

— A więc ja sam będę bronił całego domu, ja mam żonę, dzieci, mam starą matkę, mam siostry. Ja będę ich bronił, choćbym pozostał sam jeden.

W tej chwili weszli Barabasz i Szymon, a z nimi kobieta w żałobie.

Barabasz niósł w prawej ręce okropny dwudziestofuntowy młot, zgrzytał zębami i z roziskrzonemi zbliżał się oczyma; poznać było po nim, że sam jeden gotów był napaść całą tłuszczę.

Za nimi szła wdowa z pistoletem w ręku.

Na końcu lazł stary Szymon, cały drżący, błagając z płaczem, aby nie używano gwałtu.

— Trzymajcie się odważnie — rzekła suchym głosem wdowa. — Nie trzeba za darmo dać życia.

— Chodźcie za mną, zapędzimy ich do piekła! — krzyknął atleta, wywijając ciężkim młotem jakby piórkiem.

— Nie trzeba się śpieszyć, stańmy tu w tej rondeli, stąd każdego kto się zbliży zastrzelimy, a potem, jeśli tego będzie potrzeba, możemy walczyć na schodach.

— Ja wam będę nabijać strzelby — dorzuciła wdowa.

— Dla Boga! — jęczał Szymon — co chcecie robić. Jeżeli zabijecie jednego, wymordują nas wszystkich. Nie róbcie tego. Trzeba z nimi pomówić łagodnie, trzeba im przyrzec wina, zaprowadzić do piwnicy. Dajcie im pieniędzy, ułagodźcie ich. Tomaszu, pomów ty z nimi! — wrzeszczał stary, obracając się do tego, który bez najmniejszego wzruszenia chodził po pokoju.

— Daremne wszystkie zabiegi, daremna obrona, zginęliśmy wszyscy — odparł zimno.

— Niema czasu do stracenia — przerwał Józef niecierpliwie — zabieraj Barabaszu broń ze ściany i rozdziel ją między służących; oni niech zostaną przy tylnych oknach, a nas dwóch wystarczy tutaj. Stań sobie siostro za oknem, żeby cię nie uderzyli kamieniem. Przy nabijaniu uważaj, żebyś mocno kul nie przybijała, bo nie będzie można strzelać celnie.

— Ja nie dam wam strzelać! — wrzeszczał starzec, odciągając Józefa od okna. — Nie wolno strzelać! Stójcie spokojnie!

— Idź do piekła stary. Może chcesz nas święconą wodą bronić przeciw gradowi kamieni.

Na te słowa wpadło kilkanaście kamieni, łamiąc sprzęty i co stało na drodze.

— Poczekajcie, niech ja pomówię z nimi — błagał Szymon; — ja ich uspokoję, rozumiem ich język. To wszyscy moi znajomi, dobrzy ludzie, pójdę do nich!

— Źle robisz. Jak ich będziesz prosić, zamordują cię, a działając przeciwnie, zlękną się. Zostań tu i bierz pistolet do ręki.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa

Waszyngtońska konferencya w sprawie ogólnego rozbrojenia właściwie udać się nie powinna, gdyż brakuje na niej dwu najważniejszych osobistości, to jest Lloyd'a George'a i... kronikarza „*Nowości Illustrowanych*". Lloyd George pozostał w Europie aż do ostatecznego załatwienia sprawy irlandzkiej, która znowu się wikła, kronikarz nie wybrał się zaś za Ocean z tego powodu, iż go tam prawdopodobnie przez pomyłkę, nie zaproszono, pozatem chciałby tu na miejscu śledzić rozwój wypadków wschodnio-małopolskich, które są potwierdzeniem tego, co w poprzednich kronikach napisał o stosunku zachodnich Ukraińców do Polski i o dziwnej krótkowzroczności naszych sfer decydujących, nie umiejących, lub też nie chcących dojrzeć niebezpieczeństwa, jakie nam grozi ze strony domowego wroga, równie niebezpiecznego, jak domowy złodziej.

Po Fedaku, kongres bolszewicki, rusko-żydowsko-czeski, odbyty w zabudowaniach grecko-katolickiej metropolii we Lwowie, to najważniejsze obecnie wydarzenie dnia. Raz wreszcie spadną może łuski z oczu tych wszystkich, którzy dotąd przyjaźnie usposobieni byli wobec drugiej narodowości, kraj nasz zamieszkującej, i brali za złe tamtejszym Polakom, że nie starają się przycisnąć do swego serca swych stryjecznych braci. Ale ich trzeba znać, aby wiedzieć, że takie „przyciśnięcie" naraziło by zdecydowanego na nie na poważne niebezpieczeństwo, gdyż brat-Ukrainiec nie zapomniałby z pewnością zabrać ze sobą nóż, i to może nawet poświęcany, aby sobie ułatwić ten piękny akt sąsiedzkiego i przyjacielskiego zbliżenia.

W jaki sposób władze lwowskie wpadły na trop bolszewickiego kongresu i to odbywającego się w miejscu, gdzie się go można było najmniej spodziewać, tego nie wiemy. Być może doszły one do kłębka przy pomocy nici, wysnutych ze sprawy Fedaka, może to był przypadek, faktem jest przecież, że połów udał się im doskonale, i że zasłużyły sobie na wyrazy uznania ze strony całego polskiego społeczeństwa. Polscy przyjaciele Ukraińców zrozumieją może nareszcie, jakim duchem są oni wobec nas ożywieni, no jednak najważniejsze, decydujące sfery w koalicyjnym koncercie mają sposobność zapoznania się z działalnością swych pupilów i z tem, co pośrednio może i dla nich stać się groźnem, bo chyba bolszewizmu nawet pan Lloyd George nie zechce popierać, choć tak zapamiętale kokietuje sowieckich dostojników. W obecnej chwili, gdy sprawa byłej wschodniej części Galicyi ma wejść na porządek dzienny, odkrycie lwowskie powinno stanowczo zmienić kąt widzenia polityków koalicyjnych na sprawę zachodnio-ukraińską, jeśli nie chcą ściągnąć na siebie zarzuty, że są poplecznikami ruchu komunistycznego, przeciw któremu tylko pozornie występują, a w skrytości ducha są jego zwolennikami i radzi byliby widzieć go i u siebie, cieszy ich więc, iż posuwa się powoli, ale stale w zachodnią stronę.

Tajniki polityki są dla zwykłych profanów, nic z nią wspólnego nie mających, czemś niezbadanem, w guście wnętrza dziewiczego lasu. Bóg raczy wiedzieć, jakie myśli roją się po głowach owych wielkich ludzi, którzy podjęli się uporządkować stosunki światowe. Być może, że ruch bolszewicki jest im na rękę w żaden jednak sposób nie można przypuścić, aby zgadzał się on z dążeniami Kościoła katolickiego, do którego zaliczają się także i Ukraińcy, a ich metropolita, Szeptycki, radby nawet odegrał rolę apostoła, dążąc, jak tego dał dowody, do zjednoczenia prawosławnej cerkwi z Rzymem. Ciekawa zatem rzecz, czy wiedział on o tem, co się dzieje tuż pod jego bokiem, jeśli zaś nie wiedział, co na to powie. Nie jest wykluczonem, że myszy rozbrykały się czując brak kota w domu, z drugiej jednak strony dziwnie jakoś wygląda obecność jego sekretarza, Bazylianina, na korytarzu przed drzwiami sali, w której odbywały się posiedzenia pod przewodnictwem „czerwonej Olgi". Tłómaczenie się świętojurskich czynników, iż nie wiedziały komu się salę wynajmuje i w jakim celu, stoi w sprzeczności z „biblioteką" bolszewicką, wykopaną w jednej z piwnic owego budynku. Wszystko to, wzięte razem, wskazuje, że ma się w tym wypadku do czynienia z tendencyjnie obmyślaną robotą, skierowaną na szkodę państwowości polskiej, że agitacya bolszewicka cieszyła się wybitnem poparciem tych, którzy u świętego Jura rezydują, a kongresowi użyczono gościny w tym celu, aby go uchronić przed ciekawem okiem niepowołanych, bo chyba nikt nie wpadłby na myśl szukania go tam, skąd się mają rozchodzić nawoływania do utrzymania porządku w społeczeństwie, zgody chrześcijańskiej i miłości bliźniego. Jeśli zaś ks. metropolita Szeptycki i jego adlatusi chcieli może swe apostolskie aspiracye skierować i w szeregi komunistów i rozpocząć ich nawracanie, to wybrali bardzo nieodpowiednią porę i to nawet dla samej zachodniej Ukrainy, gdyż wyświadczyli jej prawdziwie niedźwiedzią przysługę w chwili, gdy powinno jej zależeć na utrzymaniu dobrej reputacyi w oczach całego świata.

Wiemy, niestety, z jaką sympatyą odnosi się wnuk Fredry do polskiego społeczeństwa, dając w ten sposób budujący przykład swej owczarni, mamy przecież o nim zbyt dobre wyobrażenie, by my mogli przypuścić, aby kongres bolszewicki za jego wiedzą i z jego poparciem znalazł gościnę pod dachem budynku, zostającego w jego zarządzie, nie licowałoby to bowiem z jego stanowiskiem, jako kapłana. Stało się to zapewne bez jego wiedzy, ale w takim wypadku, dowiedziawszy się o tem, powinien ks. Szeptycki przyspieszyć swój powrót z Ameryki i poddać gruntownym oględzinom swą owczarnię, wśród której znajdują się widocznie i parszywe owce, mogące bardzo łatwo roznieść zarazę i pomiędzy jego trzodę, a tego chyba sam nie pragnie. Jeśli postąpi inaczej będzie to dowodem, że dla celów polityki zapomina o swych obowiązkach, ciążących na nim jako na pasterzu i dając w rękę broń nieprzyjaciołom Kościoła katolickiego którzy też niezawodnie nie omieszkają z niej skorzystać. Idee bolszewickie tak są dalekie i różne od tych, jakie głosi nasza religia, że nie można nawet przypuścić, by się je dało sprowadzić do wspólnego mianownika, którym w danym wypadku byłaby chęć szkodzenia polskiej państwowości, a działania na korzyść usamodzielnienia zachodniej Ukrainy. Polityka, prowadzona w ten sposób nie może przynieść spodziewanych owoców.

Fedak, różne tajne organizacye ukraińskie, wroga nam agitacya za granicą, otwarte grożenie zbrojnem wystąpieniem i terrorem, ostatnio zaś kongres bolszewicki na obszarze cerkiewnym św. Jura, to wiązanka sympatycznych a wonnych kwiatków, uszczkniętych w ukraińskim ogródku, świadczących, że jest zachwaszczony i wymaga radykalnego oczyszczenia, póki jeszcze czas na to. Ci, od których to zależy, powinni się tem zająć co rychlej, aby potem nie mieć sobie do wyrzucenia, że „mądry Polak po szkodzie".

Niechaj nas przypadkiem kto nie posądza o wrogie usposobienie wobec Rusinów. Jesteśmy i byliśmy zawsze za zgodnem współżyciem z nimi, tak zwanych jednak Ukraińców, jak to już niejednokrotnie zaznaczyliśmy, za Rusinów nie uważamy, jest to bowiem wytwór sztuczny a najnowszych czasów, stworzony dzięki niemądrej polityce austryackiej, której menerom wydawało się, że w ten sposób ugruntują swe wpływy we wschodniej Europie.

Dość niejasno przedstawia się także stosunek „braci Czechów" do nas, o ile go rozpatrujemy na tle przyjaźni czesko-ukraińskiej. Rząd i prasa czeska cieszą się rzekomo z tego, że między Polską a Czechami przychodzi powoli do porozumienia i wygładzenia dawnych nierówności, co dla obu stron może mieć tylko dodatnie następstwa, kontrastem bardzo jaskrawym tych oświadczeń jest kokietowanie zupełnie otwarte dyktatora zachodniej Ukrainy, Petruszewycza, i popieranie jego antipolskich dążeń, tak moralne, jak i materyalne. Ale „bracia Czesi" mają bardzo czułe serce, lecz głównie tylko wtedy gdy rozchodzi się o ich interes, a, jak już w poprzedniej kronice wspominaliśmy, zależy im bardzo na tem, aby mieć wygodny pomost łączący ich z Rosyą, a takim może być tylko Ukraina, pojęta w nowoczesnem tego słowa znaczeniu, nigdy zaś Polska. I im pachnie też drohobycka nafta, w samodzielnej Ukrainie petruszewyczowskiej mogliby się rządzić, jako jej dobrodzieje, niczem szara gęś. Czesi korzystają zresztą z każdej sposobności i nie żałują nam szpilek. Nie tak dawno temu antipolsko usposobieni Białorusini znaleźli u nich w imię braterstwa Słowian gościnne przyjęcie, zależy im widocznie na tem, aby Polska znalazła się w jak najtrudniejszem położeniu, a wtedy pospieszą może jej z pomocą. Jak jednak ta pomoc wygląda i jak pojmują oni braterstwo, wie to każdy, kto sobie zdaje sprawę z tego, jaką rolę odegrali oni w historyi naszego narodu od najdawniejszych do najnowszych czasów. W zastosowaniu do nich powinno się uwzględniać zawsze przysłowie; „Chroń mnie Panie Boże od przyjaciół, bo z nieprzyjaciółmi dam sobie radę"... Może obecnie, po nawiązaniu stosunków handlowych i politycznych z Czechami sytuacya się poprawi, gdyż wchodzi tu w grę nie sentyment, ale interes, Czechom bowiem zależy na tem, aby otworzyć drogę do Polski dla swego przemysłu, mogącego liczyć na zbyt tylko w kierunku wschodnim. Obecne kierownictwo naszych spraw zagranicznych odnosi się do Czechów bardzo przyjaźnie, bardziej nawet, niż na to zasługują, bo nie trzeba zapominać, że to naród geszefciarski, dla którego własna korzyść jest jedynem i najświętszem przykazaniem, czekający tylko na to, by mu podać bodaj koniec palca a on potrafi już ująć za całą rękę i, ani się spostrzeżesz, jak cię chwyci za głowę. A wtedy już po nas, spełniły by się bowiem marzenia czeskich polityków o stworzeniu „Małej koalicyi" wraz z Polską, ale pod patronatem i opieką Pragi, która przejęła po carskiej Rosyi ideały panslawistyczne, mające Czechom zapewnić świetną przyszłość kosztem innych narodów słowiańskich.

Jeszcze ciekawiej przedstawia się nasz stosunek do Rosyi sowieckiej, która wprawdzie po zawarciu pokoju w Rydze powinnaby żyć z nami w przyjaźni, ale pojmuje ją na swój sposób prąc ku zachodowi. Poseł sowiecki w Warszawie, Karachan, zaczął się też rządzić w Polsce, jak ekonom na folwarku, a nasze kierujące sfery z dziwną uległością i bez zastrzeżeń poszły mu na rękę, spełniając jego żądania co do wydalenia z granic kraju osób, dla sowieckiego rządu rosyjskiego niebezpiecznych. Jeśli tych samych metod miałby używać i rząd polski powinien domagać się wydalenia z granic naszego kraju przedewszystkiem samego pana Karachana i całego personalu jego poselstwa, które stało się centralą agitacyi bolszewickiej na Polskę, tem niebezpieczniejszą, iż osłoniętą nietykalnością. Zdaje się jednak, że pan poseł zrozumiał już, że stanowiska jego w Polsce przekroczyło zakres dyplomatycznej przyzwoitości, skoro, jak donoszą ostatnie telegramy (piszemy to w sobotę...), opuścił Warszawę, skąd wyjechał jak jedni twierdzą na kuracyę do Berlina, drudzy natomiast dowodzą, że powrócił do ojczyzny, gdzie już na stałe pozostanie. Rosya, jak okazują fakta, nie straciła jeszcze nadziei, że uda się jej ugruntować w Polsce swe wpływy i zaprowadzić u nas „raj komunistyczny". Wnosić to można także ze słów „Czerwonej Olgi", aresztowanej we Lwowie, która oświadczyła, że zobaczymy za trzy miesiące, czego dokona Trocki.

Na brak przyjaciół narzekać więc nie możemy, otoczeni jesteśmy nimi ze wszystkich stron i to tak szczelnie, że, gdyby nie ów kawałek dostępu do morza, jaki się nam dostał, nie mielibyśmy którędy nawet nosa na świat szerszy wystawić. A ci wszyscy przyjaciele, w szczególności zaś najbliżsi, to jest Czesi i bolszewicy, są dla nas tak sympatycznie usposobieni, że z miłą chęcią pozbyli by się nas z pomiędzy siebie, gdyż przeszkadzamy im w bezpośredniem zetknięciu się ze sobą. O trzecim najbliższym sąsiedzie, to jest o Niemcach, nie wspominamy, ci bowiem występują stale wrogo wobec nas, wiemy zatem, kogo mamy pod bokiem.

Ale wszystko to jest niczem w porównaniu, jak powiedziałby mędrzec Pański z... wiecznością lub kiszonymi ogórkami. O kłopotach politycznych zapomnieliśmy bodaj na chwilę, a radość napełniła serca nasze, oto bowiem doniosły pisma codzienne, że marka polska idzie coraz bardziej w górę, a obce waluty spadają na łeb i na szyję. Na „czarnej giełdzie" popłoch i prawdziwie sądny dzień, nasi „centralni" finansiści mają jeszcze dłuższe nosy, niż zwykle, a każdy z nich jest żałośniej usposobiony, niżeli prorok Jeremiasz, gdy opłakiwał zburzenie Jerozolimy. Niedługo czekać, a ujmie się za nimi Lloyd George, przypominając nam postanowienia traktatu wersalskiego o ochronie praw mniejszości narodowych i wzywając do zmiany kierunku pod rygorem zastosowania sankcyi karnych. To są dziś w modzie, każdy stosowałby je chętnie, można bowiem na tem zrobić dobry interes. Czechy i Jugosławia grożą takiemi sankcyami Węgrom z powodu niefortunnego wystąpienia ex-króla Karola, który, jak nieszczęśliwie przyleciał na Węgry, tak szczęśliwie już z nich odpłynął. Wielka Koalicya broni Węgry przed zachłannością „małej", gdyby bowiem sąsiedzi dobrali się do ich skóry, z Węgier, i tak już okrojonych należycie, nie pozostałoby nic.

Nasza radość z powodu wzbijania się w górę marki polskiej jest, jak dotąd, szczególniej w Krakowie, czysto platoniczną. Czytamy wprawdzie o tem codziennie i to na własne oczy, ale nie możemy tego jakoś odczuć na własnej kieszeni, w miarę bowiem, jak marka zyskuje na wartości, drożeje wszystko, a rząd daje piękny przykład paskarzom i lichwiarzom, jak mają postępować, podnosząc w dalszym ciągu wszelkiego rodzaju opłaty. Przykład działa zachęcająco, w ostatnim tygodniu podrożało zatem mleko z ośmdziesięciu marek na sto czterdzieści za litr, kwadrans jazdy dorożką kosztuje nie jak dotychczas trzydzieści marek lecz sto ośmdziesiąt, bilet tramwajowy dla obcego czterdzieści marek, dla Krakowianina trzydzieści. I tak dalej wszystko idzie w tym samym porządku, a przeciętny śmiertelnik w żaden sposób nie może się doczekać tej radosnej chwili, kiedy będzie można zacząć odczuwać „dobroczynne skutki" wojny światowej.

W uroczystości tej uczestnikami byli: Wojewoda kielecki p. Pękosławski, przedstawiciel M. W. R. i O. P. p. Warchoł, tutejszy starosta p. Wieczorek, dyrektor gimnazyum państwowego w Olkuszu p. Dubaj, przedstawiciele korpusu oficerskiego 25 p. p., liczne rzesze inteligencyi, mieszczaństwa, włościaństwa oraz grono nauczycielskie wraz z wychowankami zakładu w liczbie 480. Po poświęceniu wygłosił przemówienie do młodzieży prezes Komitetu gimnazyalnego p. Zaporski, podnosząc ofiarność i wytrwałość tutejszego społeczeństwa, które założywszy w czasie okupacyi prywatne gimnazyum przed 5 ciu laty z dobrowolnych składek potrafiło nabyć budynek z ogrodem za sześć milionów marek na pomieszczenie ośmio klas. wego gimnazyum. Pan Wojewoda w następnem przemówieniu zaznaczył różnicę między wychowaniem młodzieży w czasach rosyjskich a obecnie. Delegat Ministerstwa p. Warchoł przedstawił młodzieży znaczenie wychowania w szkole państwowej. Z ramienia Rady Pedagogicznej przemawiał p. Gąsiorek, biorąc jako motto swego przemówienia słowa Krasińskiego:

„Ciałom wszystkim rozdać chleba,
Duszom wszystkim myśli z Nieba".

Jako przedstawiciel Rady miejskiej i rodziców przemawiał p. Szczeciński oraz imieniem włościaństwa p. Dańca, reprezentant kształcącej się młodzieży uczeń klasy ósmej p. Szczepka złożył ślubowanie stosowania się do przepisów i naśladowania cnót naszych wielkich i dobrych synów Ojczyzny. Wreszcie przemówił dyrektor gimnazyum p. Lech, dziękując uczestnikom uroczystości oraz tym wszystkim, którzy czemkolwiek przyczynili się do wzniesienia średniej uczelni w tutejszym grodzie w tak ciężkich warunkach. Na zakończenie odbył się skromny bankiet w jednej z sal szkolnych, w którym wzięło udział kilkadziesiąt osób. *F. G.*



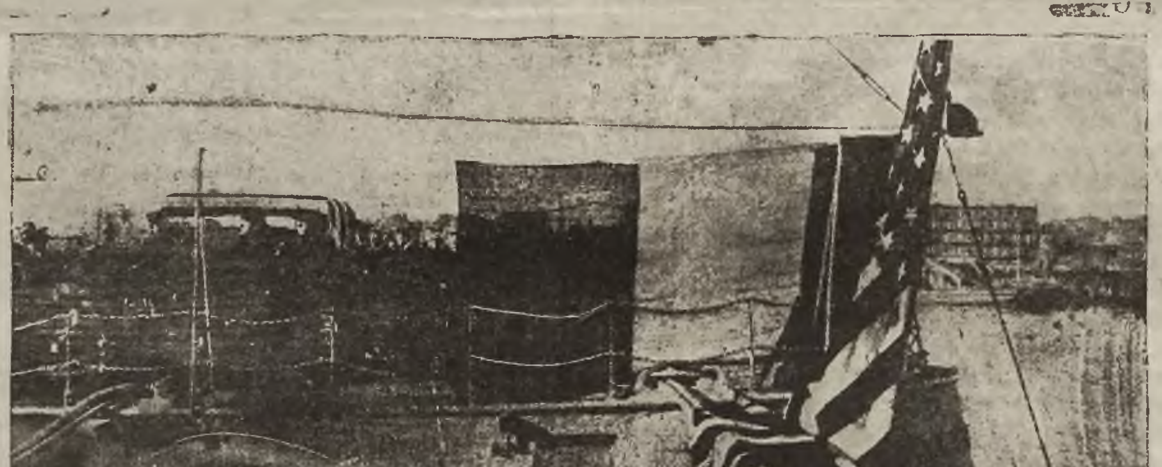
Przed konferencyą w Waszyngtonie: Siedziba rządu Stanów Zjednoczonych, waszyngtoński „Kapitol", miejsce obrad międzynarodowej konferencyi w sprawie rozbrojeń.

Ćwierć wieku na katedrze uniwersyteckiej.

Profesor medycyny sądowej Uniwersytetu Jagiellońskiego Dr. Leon Wachholz ukończył w tym roku pierwsze ćwierćwiecze swej profesorskiej działalności. Na wyraźne jego życzenie rocznica ta musiała się ograniczyć do czysto zakładowej, domowej uroczystości. Siłą faktów i dzięki zasługom Jubilata i rozgłosowi jego imienia przyłączyli się w hołdzie także Tow. lekarskie lwowskie i krakowskie, Wydział lekarski Uniw. Jana Kazimierza, liczni uczeni, koledzy, uczniowie i znajomi Jubilata, pojawiły się artykuły w prasie lekarskiej i codziennej.

Najpierw na pierwszym wykładzie Jubilata w rozpoczynającym się roku szkolnym złożyli mu z okazyi 25 letniej profesorskiej działalności gratulacye imieniem obecnych asystentów i najbliższych współpracowników: Doc. dr. Olbrycht, imieniem absolwentów medycyny, p. Gnoiński, imieniem słuchaczów medycyny p. Zachert. Poza tem nadeszły życzenia od uczniów Jubilata: Prof. med. sąd. we Lwowie dra Sieradzkiego, prof. med. sąd. w Warszawie dra Grzywo Dąbrowskiego, prof. med. sąd. w Poznaniu dra Horoszkiewicza, od asystentów przy Zakładzie med. sąd. Uniw. Jana Kazimierza, od Tow. lek. lwowskiego, Sekcyi jarosławskiej, Tow. lek. małopolskich, od lwowskiej Izby lekarskiej, tudzież od całego szeregu lekarzy z Krakowa, Lwowa i z prowincyi. Imieniem Tow. lek. krakowskiego złożył Jubilatowi w serdecznych słowach życzenia prezes tegoż Towarzystwa, prof. Rosner, na ostatniem październikowem posiedzeniu naukowem.

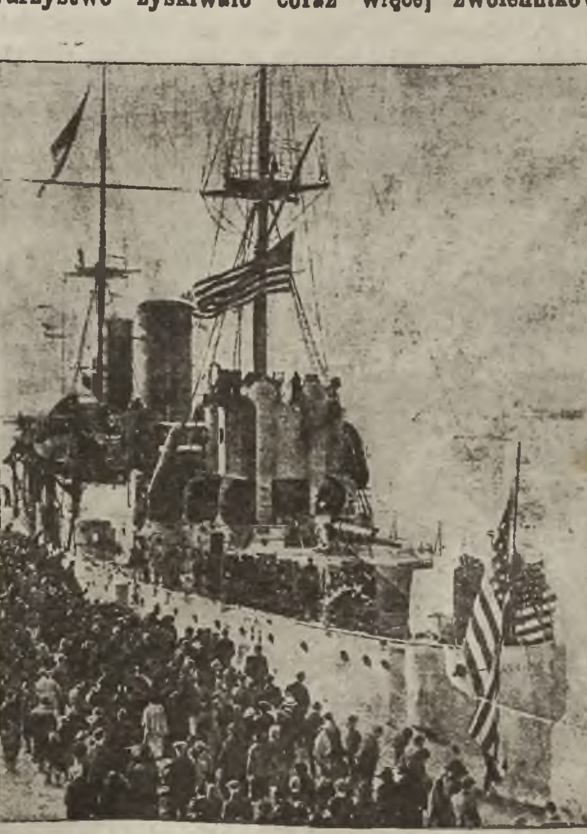
Profesor Wachholz urodził się w ukochanym przez siebie Krakowie 1867 roku i tutaj ukończył chlubnie szkoły średnie i Wydział lekarski. Jako młody lekarz wyjechał do Wiednia, do Edwarda Hofmanna, twórcy nowoczesnej medycyny sądowej, zapoznał się z nią u jej źródła, przeszczepił ją następnie na nasz grunt i stał się mimo młodego wieku twórcą polskiej nowoczesnej medycyny sądowej. Naszej medycynie sądowej, która dawniej opierała się prawie tylko na kazuistyce, dał nowożytną eksperymentalną podstawę, z malutkiego zakładu bez potrzebnej i niedostatecznej aparatury, biblioteki, muzeum itd., stworzył usilnymi zabiegami Zakład nieustępujący w niczem zakładom zagranicznym. W nim dokonał sto kilkadziesiąt prac własnych obok kilkudziesięciu prac jego uczniów z najrozmaitszych działów medycyny sądowej, które szybko rozniosły jego imię daleko poza granice kraju i dzisiaj o jego badaniach, zwłaszcza zaś nad tlenkiem węgla i utopieniach, wspominają podręczniki sądowo-lekarskie od angielskich do japońskich włącznie. Nie zapomniał także o uczącej się młodzieży, dając jej, jeden z pierwszych, doskonałe podręczniki. Wszystkie katedry medycyny sądowej w polskich uniwersytetach są zajęte przez jego uczniów, a to samo odnosi się po największej części do tak odpowiedzialnych stanowisk rzeczoznawców lekarzy sądowych. To też słusznie należy się dzisiaj Jubilatowi miano nestora polskiej medycyny sądowej, mimo, że przypadło ono Jubilatowi w pełni sił, energii i twórczości. Twórczość zaś Jego nie zasklepiła się w jednym tylko przez siebie obranym kierunku, lecz zużytkowuje on ją z powodzeniem także na niwie historyi i literatury pięknej, dając w ostatnich czasach przepiękny przekład Fausta i historye szpitali krakowskich obok licznych mniejszych prac.



Pogrzeb „nieznanego żołnierza" amerykańskiego we Francyi: Żołnierze amerykańscy wnoszą trumnę do namiotu ustawionego na pokładzie „Olympii".

Wystawa przemysłu ludowego
w Częstochowie.

Warszawskie Towarzystwo Popierania Przemysłu Ludowego, założone przez ś. p. ks. Benniego, rozwinęło w przedwojennych czasach bardzo żywą działalność na całym obszarze byłej Kongresówki, biorąc w opiekę przemysłową wytwórczość naszego ludu i dokładając starań do doprowadzenia jej do należytego rozkwitu. Musiano zwalczać liczne przeszkody, tak ze strony rządu rosyjskiego, węszącego wszędzie za agitacyą polityczną, jak i ze strony samego ludu, nie rozumiejącego dobrodziejstw, płynących dlań przez zyskanie nowego źródła zarobku. Trudności udało się szczęśliwie przezwyciężyć, Towarzystwo zyskiwało coraz więcej zwolenników,



Pogrzeb „nieznanego żołnierza" amerykańskiego we Francyi: Krążownik amerykański „Olympia", w chwili opuszczenia portu w Havrze.

działalność jego zataczała coraz szersze kręgi, obejmując najrozmaitsze działy domowego przemysłu ludowego i zakładając swe placówki w różnych częściach kraju. Urządzano liczne kursy przemysłowe, pokazy i wystawy, postarano się o dzielnych instruktorów, a społeczeństwo nie szczędziło poparcia szlachetnym zabiegom, mającym na celu uprzemysłowienie kraju, a tem samem podniesienie jego dobrobytu. I lud nasz garnął się chętnie do pracy, znajdując w niej zajęcie nie tylko przyjemne, ale przynoszące i materyalną korzyść. Wybuch wojny światowej przerwał na kilka lat pracę Towarzystwa, które obecnie, po nastaniu normalnych stosunków, budzi się na nowo do życia i dzięki wydatnej pomocy ze strony rządu, rozpoczyna kontynuowanie swych zadań w warunkach daleko pomyślniejszych, niż poprzednio.

Posiew, rzucony szczęśliwą ręką, wydał już swoje plony, Towarzystwo Popierania Przemysłu Ludowego może się poszczycić zupełnie słusznie pracami swych pupilów, zasługującemi na to w zupełności. Stwierdzają to dwie ostatnie wystawy, pierwsza z nich, urządzona przed kilku tygodniami w Jędrzejowie, druga w ostatnich czasach w Częstochowie we własnym budynku w parku „Staszyca“, obok „Zagrody włościańskiej“. Otwarta została w tym celu, aby pątnicy, licznie w tym roku przybywający na Jasną Górę, po zaspokojeniu potrzeb religijnych, mogli znaleźć rozrywkę i zarazem zachętę do wytwórczości własnej, co przyczyni się do podniesienia ich dobrobytu. Wystawa taka nie chybi celu, gdyż widzimy tu pątników z całej Rzeczypospolitej jak długa i szeroka.

Poświęcenia wystawy dokonał wobec przedstawicieli władz miejscowych i przybyłego delegata z Kielc, ks. Prałat Nassalski, który przy otwarciu pierwszy zabrał głos, w treściwych słowach podkreślając znaczenie wystawy, następnie przemawiał p. starosta Kühn, dyr. Przemysłu ludowego p. Młodzianowski i przedstawiciel ministerstwa rolnictwa przy województwie kieleckiem.

Wystawa przedstawia się wspaniale i wypełnia obszerny budynek. Licznie reprezentowany jest dział ubiorów ludowych, zabawkarstwo, koszykarstwo, garncarstwo, tkactwo, które bardzo zaciekawiają licznych zwiedzających.



Echa niefortunnej wyprawy: Willa w Hertensteinie nad jeziorem „Czterech Kantonów“, dotychczasowa szwajcarska rezydencya byłej austryackiej pary cesarskiej



Echa niefortunnej wyprawy: Ex-cesarzowa Zyta podczas przechadzki w Hertensteinie w otoczeniu swych towarzyszek wygnania.

Przed konferencyą w Waszyngtonie.

W dniu 14. bm. rozpoczyna się w Waszyngtonie konferencya międzynarodowa w sprawie ograniczenia zbrojeń. Niektórzy z uczestników przybyli już na miejsce, jak naprzykład marszałek francuski Foch, inni są w drodze, między nimi i Briand, Lloyd George, zatrzymany w Europie sprawą irlandzką, zapowiedział swój przyjazd dopiero za dwa tygodnie, powierzając tymczasowo przewodnictwo delegacyi angielskiej Balfourowi.

Jak z głosów prasy, tak oficyalnej, jak i nieoficyalnej wynika, wszystkie mocarstwa, razem wzięte, godzą się na to, że ogólne rozbrojenie powinno być jak najrychlej przeprowadzone, każde jest do niego gotowe, lecz dodaje od siebie: „o ile uczynią to także i inni“.

Japoński admirał Kato, jadący na konferencyę do Waszyngtonu, wyraził się wobec współpodróżnych, że i Japonia jest za ograniczeniem zbrojeń, o ile projekt ten zostanie ogólnie przyjęty, w przeciwnym razie przeprowadzi konsekwentnie aż do ostatniego punktu swój program flotowy. A tu, jak gdyby na złość, ogłasza rosyjski rząd sowiecki, że uchwał konferencyi waszyngtońskich nie uzna i do nich się nie zastosuje. Jeśli zatem Rosya rozbrojenia nie przeprowadzi, pogotowie wojenne muszą utrzymywać i wszyscy interesowani, czyli, że cała waszyngtońska konferencya będzie tylko komedyą, a dotychczasowe stosunki międzynarodowe i wzajemne straszenie się nowemi zbrojeniami, nie ulegną żadnej zmianie.

W każdym razie oczy i uwaga całego świata zwrócone są obecnie na waszyngtoński Kapitol, otwierający gościnne swe podwoje na powitanie uczestników konferencyi, mającej być pierwszą urzędową zapowiedzią trwałego pokoju światowego.

Pogrzeb „nieznanego żołnierza“ amerykańskiego we Francyi.

Francya i Anglia uczciły już pamięć „nieznanego żołnierza“, obecnie przyszła kolej na Stany Zjednoczone. W tym celu zażądał rząd waszyngtoński od Francyi wyznaczenia zwłok jednego z poległych na francuskiej ziemi żołnierzy amerykańskich, celem przewiezienia do ojczyzny i uczczenia narodowym pogrzebem.

W tym celu ekshumowano na cmentarzu wojennym w Châlons sur Marne cztery mogiły a komisya, złożona z przedstawicieli wojskowości francuskiej i amerykańskiej pod przewodnictwem prezydenta Gwatemali Karlosa Herrery wyznaczyła jedne ze zwłok. Trumnę „nieznanego żołnierza“ ozdobiono białemi różami i umieszczono w specyalnie na ten cel przeznaczonej srebrnej trumnie, przywiezionej z Ameryki. Następnie trumnę, okrytą czarnym całunem, opatrzonym angielskim napisem: „Nieznany Amerykanin, który oddał swe życie w wojnie światowej“, przeniesiono do kaplicy w ratuszu, gdzie honorową straż koło niej pełnili żołnierze amerykańscy z okupacyjnego korpusu nadreńskiego i francuscy. Katafalk ozdobiono pięknie palmami i wieńcami, tłumy mieszkańców odwiedzały kaplicę, by oddać cześć pamięci bohatera, którego śmiertelne szczątki przewieziono następnie do Paryża, stąd zaś do Havru, gdzie oczekiwał na nie amerykański okręt wojenny „*Olympia*“.

W Havrze z okazyi pożegnania zwłok wygłosili jen. Rogers i mer miasta uroczyste przemówienia, na temat francusko amerykańskiego braterstwa broni, minister Maginot złożył imieniem rządu na trumnie krzyż Legii honorowej, poczem marynarze „Olympii“ zmieniając się z żołnierzami armii lądowej przenieśli zwłoki wśród szpalerów wojska francuskiego i amerykańskiego na pokład krążownika, gdzie umieszczono je w specyalnym namiocie, sporządzonym z flag obu państw.

O godzinie 3. min. 30 dnia 25 października br. „Olympia“ opuściła port w Havrze, odprowadzona na pełne morze przez statki wojenne francuskie.

Echa niefortunnej wyprawy.

Druga wyprawa ex-króla Karola na Węgry skończyła się zupełnem niepowodzeniem i prawdopodobnie odbierze mu ochotę do dalszych prób w tym kierunku, zwłaszcza, że unieruchomieniem królewskiej pary zajęła się Anglia, znana ze swej gościnności, której skutki odczuł najlepiej na sobie cesarz francuzów, Napoleon Bonaparte.

Afera ta narobiła sporo wrzawy w Europie, zdawało się nawet, że stanie się powodem do zbrojnej interwencyi Czech i Jugosławii, na szczęście z wielkiej chmury spadł tylko bardzo mały deszcz, a ex król bardzo rychło znalazł się w charakterze więźnia w ręku węgierskich wojsk narodowych. W każdym razie impreza ta stała się tematem najróżnorodniejszych kombinacyi i bardzo fantastycznych opowieści i zwróciła oczy na osobę pretendenta, który w odosobnieniu pędził spokojny żywot w swej szwajcarskiej rezydencyi w Hertenstein nad jeziorem Czterech Kantonów, póki go naprawdę dyabeł nie skusił do spróbowania znowu szczęścia. I teraz się dopiero tłómaczy, dlaczego nie doszedł do skutku projekt przesiedlenia się rodziny ex-królewskiej do Hiszpanii, jak o tem nie tak dawno szeroko mówiono i pisano. Król Karol chciał być bliżej Węgier, nie stracił bowiem nadziei powrotu na tron, w czem pomagali mu węgierscy legitymiści, utrwalając go w przekonaniu, że armia i lud jest za nim i wystarczy, aby się tylko zjawił na ziemi węgierskiej, a cel będzie osiągnięty.



Echa niefortunnej wyprawy. Ex-cesarz Karol w ogrodzie swej szwajcarskiej siedziby.

Tym kusicielem, który obecnie nakłonił go do przedsięwzięcia nowych prób zajęcia węgierskiego tronu, był pułkownik Ostenburg, dowódca wojsk węgierskich, rozlokowanych w zachodnich komitatach, zdeklarowany zwolennik ex-króla. Wysłał on do Hertensteinu specyalnego kuryera z zawiadomieniem, że wszystko przygotowane do przeprowa-

dzenia zamachu stanu i to skłoniło parę królewską do podjęcia ryzykownej podróży, tym razem drogą powietrzną, aby uniknąć zatrzymania na granicy.

W ślad za tem zgłosili się w rezydencyi królewskiej, kapitanowie: Alsay i Fekete, z którymi Karol omówił szczegóły wyjazdu. Sprowadzili oni następnie do Dubendorfu pod Zurychem monoplan „Junker", nabyty w Holandyi, zaopatrzony w wygodną kajutę dla podróżnych, a mogący przebyć 170 klm. w godzinie. W tym samolocie prowadzonym przez kapitana Alsay'a puściła się w drogę para królewska w dniu 20 października o godzinie drugiej po południu. Skierowano się ponad jeziora Konstanckie, ponad Alpy szwajcarskie i bawarskie, przerywając podróż w okolicy Kempten, gdzie musiano wylądować, celem naprawy aeroplanu, poczem ruszono w dalszą drogę i przeleciawszy ponad terytoryum austryackiem na wysokości 3.500 metrów, dotarto bez wypadku o zachodzie słońca do granicy węgierskiej, gdzie opuszczono się na ziemię w okolicy Oedenburga (Szopronia), w majętności hrabiego Csiraky'ego, oddalonej o pięć kilometrów od granicy. Pułkownik Lechar, który już podczas kwietniowych prób Karola odegrał ważną rolę, doprowadził parę królewską w ciągu nocy do Szopronia, gdzie nazajutrz rozpoczęła się „operetka królewska" połączona z przeglądem wojsk, powołanie do życia nowego gabinetu i pochodem na Budapeszt, której szczegóły znają Czytelnicy z telegramów pism codziennych. Wojna domowa trwała zaledwie jeden dzień, wierne rządowi wojska pokonały z łatwością słabe siły królewskie, Karol wraz z Zytą dostali się do niewoli i cudem tylko uniknęli śmierci z ręki niejakiego Kissa. Parę królewską internowano następnie w Tihany, w klasztorze Benedyktynów, skąd następnie na angielskiej kanonierce przewieziono w dół Dunaju do Gałacz, gdzie miała otrzymać decyzyę Koalicyi w sprawie miejsca jej pobytu.

Ex król, na którego doznane niepowodzenie nie wywarło podobno zbyt wielkiego wrażenia, miał oświadczyć swemu otoczeniu, że został w błąd wprowadzony przez swoich węgierskich przyjaciół i stronników, małżonka jego jest natomiast złamaną na duchu,



Z lwowskiego teatru: Nowomianowany jener. sekretarz lwowskich teatrów miejskich, znany literat i publicysta, Artur Schröder.

do czego przyczynia się nadto troska o los dzieci, zostawionych w Szwajcaryi.

Jako miejsce internowania byłej pary królewskiej podają Maltę lub jedną z wysp Kanaryjskich, król włoski oświadczył gotowość udzielenia jej gościny pod modrem niebem Italii, we willi Pianore, miejscu urodzenia królowej Zyty, gdzie przyrzekł gości otoczyć „należytą opieką".

Detronizacya Habsburgów jest rzeczą postanowioną, między pretendentami do korony św. Szczepana znajduje się syn arcyksięcia Ferdynanda, a także i król rumuński. W tym drugim wypadku Węgry połączyłyby się z Rumunią unią personalną.

Z lwowskiego teatru.

Praca nad reorganizacyą lwowskich stosunków teatralnych postępuje naprzód i rozwija się bardzo pomyślnie. Powołane czynniki dokładają wszelkich starań, aby złe, jakie się zakradło w ostatnich czasach na lwowską scenę, usunąć, a Teatrowi miejskiemu przywrócić dawną jego świetność i sławę. Reformy, jakie się zaprowadza we wszystkich kierunkach, mimo ciężkie obecne warunki, dają pełną gwarancyę, że rozpoczęte dzieło doprowadzi do spodziewanych rezultatów.

Jedną z innowacyi, obecnie wprowadzonych w życie, jest ustanowienie jeneralnego sekretaryatu miejskich teatrów, w którym zbiegać się mają wszystkie sprawy, dotyczące lwowskiej sceny, tak natury artystycznej, jak też i administracyjnej, muszące iść ze sobą w parze. Kierownictwo sceny może się zmieniać, jeneralny sekretaryat zapewnia ciągłość i normalny bieg wszystkiego tego, co ma związek z teatrem.

Na trudne to i odpowiedzialne stanowisko powołano znanego i cenionego ogólnie literata i publicystę, redaktora Artura Schrödera. Powierzając w jego ręce ten tak ważny dla rozwoju lwowskiej sceny posterunek, dała Komisya teatralna wyraz zrozumienia jego ważności, a zarazem dowód uznania dla dotychczasowej działalności nowego sekretarza, który jest doskonałym znawcą sztuk pięknych w rozmaitych ich przejawach.

Nowy jeneralny sekretarz miejskich teatrów we Lwowie, człowiek dużej kultury i talentu, jest bardzo cennym nabytkiem dla naszych teatrów, które obecnie są w stadyum rozpoczęcia nowej ery. Red. Schröder jest autorem kilku tomów poezyi, dwu tomów nowel, paru powieści (z tych jedna z życia aktorów p. t. „Ostatni Hamlet"), studyów z dziedziny sztuk plastycznych, oraz tak popularnych „Orląt" które doczekały się kilku wydań. Obrońca Lwowa i założyciel „Pobudki", uczestnik walk polsko bolszewickich, sześciokrotnie ranny i kilkakrotnie odznaczony, jest postacią bardzo znaną i bardzo cenioną we Lwowie. Jego praca w teatrach miejskich będzie napewno owocną.

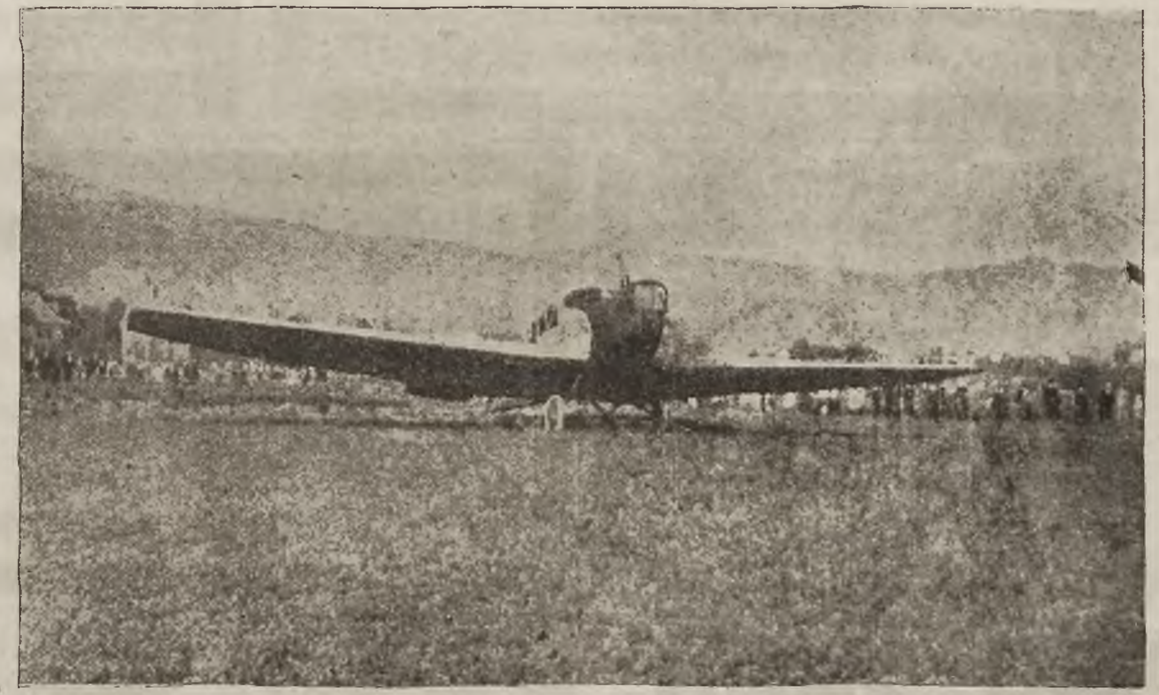
Ofiara własnej nieostrożności.

Nieostrożne obchodzenie się z narzędziami do światła gazowego było już powodem tylu tragicznych wypadków, a jednak nie nauczyło dotąd ludzi ścisłego przestrzegania koniecznych wskazań, mających na celu ochronę życia i mienia ludzkiego. Dziwnym jakimś zbiegiem okoliczności właśnie ludzie świadomi dobrze niebezpieczeństwa, jakie im może zagrażać, lekceważą je sobie widocznie i samochcąc stają się powodem wypadków, kosztujących nieraz ich życie.

Podobne zdarzenie miało miejsce w Chicago w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, a ofiarą jego padła nasza rodaczka, panna Helena Dłuska, córka dra K. Dłuskiego z Zakopanego, a siostrzenica naszej znakomitej uczonej, p. Maryi Curie-Skłodowskiej.

Panna Helena Dłuska przybyła przed rokiem do Ameryki z ramienia stronnictwa socyalistycznego celem urządzenia w tamtejszych koloniach polskich szeregu odczytów o ruchu i idei socyalistycznej. Ostatnio pracowała w redakcyi chicagowskiego „Dziennika Ludowego" i w jego lokalu redakcyjnym przy ulicy Milwaukee ave 959, uległa zatruciu gazem świetlnym. Rano, około godziny dziesiątej znaleziono zimne już jej zwłoki, a badanie stwierdziło, że powodem śmierci był gaz świetlny, uchodzący z lampy, którą panna Dłuska, udając się na spoczynek, przez nieostrożność zapomniała zakręcić.

W kołach tamtejszej Polonii przedwczesny i tragiczny zgon młodej publicystki i działaczki wywołał głębokie wrażenie i współczucie dla jej rodziny.



Echa niefortunnej wyprawy: Samolot „Junker", w którym para cesarska odbyła swą ostatnią podróż na Węgry.



Ofiara własnej nieostrożności: Sp. Helena Dłuska, zmarła w Chicago skutkiem zatrucia gazem świetlnym.

Kącik humorystyczny.

Wytłómaczył.

— To jednak ciekawe, że Ormianie odznaczają się tak pięknemi, wielkiemi i wyrazistemi oczyma...

— Jest to następstwem koziny, która, jak wiadomo, jest ich narodowym przysmakiem.

— A jakiż kozina może wywierać wpływ na oczy?

— Jest bardzo niestrawna i sprawia obstrukcyę...

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Kowalskiego